

Jeszcze o „Szogunie”
- str. 3

„Pod Budą”
- str. 11

Tylko dzisiaj wieczorem,
kochanie (?) - str. 9

Poezja Czesława
Kuriaty - str. 7

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 16251

Kamena

NR 8 (828)

21 kwietnia 1985

CENA 10 ZŁ

Wśród dzieci dla dzieci...

ROZMOWA Z DR. MED.
JOACHIMEM JUHNKE
-PEDIATRĄ, SPOŁECZNIKIEM

— Od czterdziestu lat jest pan doktor związany z lubelskim leczeniem; lecz pan już wnuki swoich dawnych

pacjentów. Cieszy się pan opinią lekarza kochającego swój zawód, doskonałego diagnosty i terapeuty, a w dodatku człowieka, na którego zawsze można liczyć, który gotów jest nieść pomoc o każdej porze dnia i nocy.



Rys. Józef Tarłowski

Po wojnie organizował pan lecznictwo dziecięce na Lubelszczyźnie, przez dwadzieścia siedem lat sprawował pan doktor funkcję radnego miejskiego, jest pan wieloletnim prezesem lubelskiego oddziału Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego... Skąd to połączenie medycznych i społecznikowskich pasji? I jak potrafi pan godzić te dwa tak bardzo odpowiedzialne zajęcia, skąd pan bierze na to czas i siły?

— Myślę, że — jeśli chodzi o pediatrię — trafiłem na swoje prawdziwe powołanie życiowe. A co się tyczy za-

Ciąg dalszy na str. 8

DNI W SCHRONIE

Lajos Nagy

Oblężenie i wyzwolenie Budapesztu na początku 1945 r. to ciągle powracające tematy w literaturze węgierskiej. Do najbardziej znanych pozycji należą: „Miało na grzęzawisku” Józsefa Darvasa i „Budapeszteńska wiosna” Ferencza Karinthyego, przetłumaczone na język polski. Zarówno powieść Darvasa jak i Karinthyego są dojrzałymi napisanymi z perspektywy czasowej utworami literackimi. Natomiast wartość pamiętnika „Dni w schronie” Lajosa Nagya (rok temu przypadła setna rocznica jego urodzin) wyraża się przede wszystkim w tym, że opisane wydarzenia rejestrowane były na gorąco. Autor spisywał swoje przeżycia i refleksje w czasie oblężenia Budapesztu, przebywając w schronie, a później po ustaniu walk nie wniósł do nich żadnych poprawek.

Trudne dzieciństwo i niełatwe życie sprawiły, że pisarz zawsze pesymistycznie podchodził do rzeczywistości. Pesymizm ten wzmógł się jeszcze bardziej w latach wojny, na skutek okrucieństw popełnianych przez faszystów. Autor „Dni w schronie” przeżył oblężenie Budapesztu w takim mieszczańskim domu, którego mieszkańcy liczyli na zwycięstwo Niemców, bądź też zachowywali obojętność w stosunku do zachodzących wydarzeń. Nieznaczne przełknięcie optymizmu i nadziei na lepsze życie pojawiają się dopiero w końcowej części pamiętnika. Fragment, który publikujemy, pochodzi z pierwszego tegorocznego numeru „Przeglądu Węgierskiego”.

OBLĘŻENIE Budapesztu rozpoczęło się w wieczór wigilijny. Dziennik zacząłem pisać dopiero drugiego stycznia. Nie wiem nawet dlaczego. Wiem tylko, że pisząc myślałem także o tym, żeby moje notatki dotarły do szczęśliwców, którzy znalazłszy się daleko od areny wojny, dowiedzą się tego wszystkiego z prasy, później także z książek, i nie będą mogli sobie nawet wyobrazić asu człowieka w oblężonym mieście, nie mówiąc już o szczegółach.

4 stycznia 1945 r. czwartek

Dlaczego spisuję te notatki? Może dlatego, żeby się czymś zająć, jeżeli

już nie nadarzył mi się partner do rozmowy. Do odpowiedniej rozmowy.

5 stycznia, piątek

Dzisiejszy dzień, do siódmej wieczorem, minął dość spokojnie. Było trochę strzelaniny. I właśnie w tym cały kłopot. Gdyż jak panuje cisza, nadzieja na szybki koniec jest słabsza. Szybki koniec! Brzmi to tragicomicznie. Chodzi o dni do szybkiego końca liczone od dziś. Każdy dzień jest męką. Nie tyle chodzi mi tu o niedostatek, bo ten nie jest jeszcze dotkliwy, lecz o udrękę duszy. Jak człowiek słucha

Ciąg dalszy na str. 6

Wyróżnienie w konkursie „Kamena” na wspomnienia z okazji 40-lecia Polski Ludowej

A jednak się uczy...

MYSLAŁEM, że już nigdy nie będę siedział w ławce szkolnej. A jednak taki dzień nadszedł i z kolegami zasiadłem do nauki. Był to rok 1948 i liczyłem sobie 19 lat. Miałem ukończyć podstawówkę. W ciągu jednego roku trzy klasy trzeba było zaliczyć i zaliczyłem. Lecz zanim to się stało, było trochę wydarzeń, które mi utorowały drogę do szkoły w Będzinie. Kiedyś znajdowały się tam koszary, w momencie podjęcia nauki

na placu szkolnym stało tysiąc chłopów. Wszyscy oni byli zapóźnieni w nauce. Do szkoły jeszcze powrócimy, ale wcześniej chcę trochę opowiedzieć o moim życiu, które miało być docelowe. Po prostu miałem zostać piekarzem. Był to bardzo istotny okres w moim życiu. Praca w piekarni i to ciągle zmaganie się z sobą zaprowadziły mnie do ławki szkolnej.

Miałem zostać piekarzem, bo taka była wola mojego wujka Rocha, a z

czasem i moja. Skończyła się wojna, kończyła się też w beczce słonina, której sporo zjadłem, a którą przywiózł wujek Roch z Niemiec, i dłużej już na garnuszku cioci i wujka być nie mogłem. Zapadła decyzja, że wielkim dobrem dla mnie będzie, jeśli wyuczę się zawodu piekarza. Martwiła mnie tylko jedna rzecz — byłem drobny, a tu wory trzeba będzie dźwigać.

Piekarnia znajdowała się tuż obok i majster potrzebował ucznia, a to, że

był pijanią, nie miało znaczenia. Bo i wujek Roch kielichem nie gardził, tyle że zawsze był w porządku. O majstrze tego powiedzieć nie można, natomiast fachowiec z niego dobry. Chleb szedł jak woda, nawet wojsko brało, bo opinię miał majster doskonałą pod tym względem.

Doszło do pierwszego spotkania z chlebobawcą. Nie było żadnych wielkich uzgodnień. Zaklepano i już następnego dnia stanąłem do nauki i pracy. Majster miał się postarać, żeby był ze mnie dobry piekarz. Tu wtrącać, że majstrowa też znała się na robocie i to całkiem dobrze. Wszystkie jednak laury zbierał majster. Taki to już porządek rzeczy.

Ciąg dalszy na str. 4-5

„Słoneczko”

z notatnika

4 IV. W „Literaturze” (miesięczniku, przez duże „L”) kolejny odcinek „Supermurzyńca”, czyli „Jim Hendrix story” pióra Jerry Hokinsa. Znalazłem taki pikantny fragment:

— Hej, jesteście Dzieweczki Gipsiarceczki — powiedziała starsza — i przyszyliśmy, żeby zrobić gipsowy odlew twojej maszyny

— Mojej maszyny?! — wybuchł śmiechem Jimi [...] — Chcecie zrobić gipsowy odlew mojego kutasa? [...] Jak posag? Gipsowy posag?

[...] Na górze w swym apartamencie Jimi szybko ściągnął swe obcisłe spodnie, a dziewczyny zaczęły przygotowywać sprzęt. Najpierw zmieszały ciepłą wodę z amalgamatem w proszku. Potem tą plastyczną substancją wypełniły spory wazon do kwiatów i powiedziały Jimiemu, żeby był gotów.

Teraz jedna z dziewczyn pokryła wzwiedzioną „maszynę” Jimiego warstwą wazeliny, by nie przykleiła się do amalgamatu i kazała wrazić ją do wazonu. Parę minut później wazon zdjęto, uzyskując dokładną formę. Następnego dnia wiano do niej gips, otrzynując znakomity odlew przerośniętej Hendrixowskiej „maszyny”.

Dziewczyny zapisały w swym dzienniczku: potrzebowałyśmy porcji 28:28 (znacznie większa niż zwykle ilość mieszaniny), a i to ledwo starczyło. Ma chyba najpiękniejszą maszynę, jaką widziałam! Przeszła przez cały wazon. Ale mamy PRZEPIEKNY odlew. Stał mu całą minutę. Ale przywarł na piętnaście minut (włosy chyba). Wspomniały gość... nawet dobrze się bawił. Tak naprawdę to myślę, że nie mógł wyciągnąć swojej maszyny, bo mu NIE CHCIAŁA ZMIĘKNAĆ! Wmasowałyśmy trochę ciepłej wody wokół jąder i w końcu jakoś się wyszłygnęła.

To jeszcze nie koniec, moi mili! Ellen Sander, pisząca o rocku, urządziła kameralne spotkanie ludzi związanych z prasą i muzyką. I z okazji tego spotkania urządziła niewielką wystawę odlewów owych Dziewczek Gipsiarceczek.

— Mężczyźni wchodząc nie odrywali wzroku od ekspozycji [...], ale zaraz potem odsuwali się od niej jak najdalej mogli. Było sześć albo siedem odlewów, w większości małych i przywiedłych. To znaczy tak wyglądały przy tym Hendrixa który miał jakiegoś osiem czy dziewięć cali długości i był rzeczywiście gruby...”

Mógłbym teraz napisać od siebie: widzicie, co to za kraj, to słynne USA? To jest dopiero wolność! A u nas nikt nie wpadnie na pomysł, aby zrobić odlew, dajmy na to, pęczka kiełbasy myśliwskiej! Polscy bigoci po tej lekturze w organie Putramenta będą zapewne wołać: „Gdzie jest cenzura!?” A literaci (tu nazwiska można wstawiać według życzenia i uznania lub nieuznania) zawyją: „I na to jest miejsce w »Literaturze«! Towarzyszu Nawrocki SOS!”

I wszyscy będą zapewne mieli trochę racji. Ale tak sobie myślę, co by się stało, gdyby tak jeszcze 30 lat temu na łamach bywszej „Nowej Kultury” przeczytał podobny tekst Ferdynand Chaber? Strach nawet pomyśleć!

Są tacy, którzy od czasu do czasu zarzucają „Kamienie”, że bywa frywolna. Ludzie, ona jest ciągle 51-letnią dziewcziną!

7 IV. „Panie Redaktorze — pisze do mnie p. Zbigniew K. (nie upoważnił mnie do podawania nazwiska) z Lublina — przeczytałem dzisiaj w Pana notatniku, że komuś tam nie podobają się karykatury z papięciem, które zamieściła »Kamena«. Proszę więc pójść do katedry i pod kościół Jezuitów w Lublinie. Ciekawe, jaka będzie Pańska reakcja, gdy zapozna się Pan z rozplakatowanymi tam wierszykami?”

Okazja trafiła się dzisiaj, kiedy szwagra rozbił ząb i musiałem go zawieźć do dyżurnej dentystki na Starym Mieście. Czekając na niego, to i owo obejrzałem.

W przedsiönku katedry, zaraz za drzwiami wejściowymi, dwie tablice ze zdjęciami i różnymi wycinkami, drukowanymi bądź pisanymi ręcznie. Rozumiem ból wiernych po stracie ks. Popieluski sam tę zbrodnię na łamach „Kamieni” potępiałem, ale forma czczenia pamięci kapłana — zwłaszcza, gdy sprawcy zabójstwa zostali schwytani i osądzeni — ma, niestety, określony cel polityczny.

Oto na tablicy nuty i słowa pieśni pt. „Ojczyzna ma”. Jedna zwrotka brzmi tak: „Biały orzeł znów skrepowany, krwawy łańcuch zwiisa u szpon, lecz już wkrótce zostanie zerwany, do wolności uderzył dzwon”.

Dzwon bijący ku wolności... Skąd ja to znam? Ach tak, z podróży po RFN! Tam w niektórych kościołach są takie dzwony, a tą wolnością ma być m. in. powrót naszych ziem zachodnich do przyszłej kolejnej Rzeszy Niemieckiej!

Na tablicy pod kościołem Jezuitów można przeczytać, stojąc na chodniku, inny wierszyk zaczynający się od słów: „Gdzie jest honor, ojczyzna i Bóg, gdzie orla białego korona...”. A dalej: „Obcej przemocy nikczemny trud, nad orlem cierniowa korona...”, a jeszcze dalej: „Wróć honor, ojczyzna i Bóg, nad orlem rozbłyśnie korona...”. Autor wierszyka poplątał kolejność: jak pamiętam z dzieciństwa, mówiło się: „Bóg, honor i ojczyzna”!

Proszę wielebnych Ojców Jezuitów, chciałbym Wam nieśmiało przypomnieć, że kiedy orzeł polski miał koronę, to nigdy w naszym mieście jednocześnie nie budowano tyłu kościołów, ile buduje się ich obecnie, gdy ten orzeł, piastowski zresztą, korony nie ma. Zapewne usłyszycie w odpowiedzi: „To buduje społeczeństwo!”. Zgoda, ale jeśli mimo kryzysu społeczeństwo na to po prostu stać i nikt budować kościołów nie zakazuje, to gdzie ten „nikczemny trud” „obcej przemocy”?

Osobiście nie mam przeciwko sztuce sakralnej, która też jest częścią naszej kultury narodowej, ale nie lubię ani przesady, ani przejawskawień. A wprost nie cierpię demagogów.

Wszedłem ok. godz. 13 do kościoła Jezuitów i wysłuchałem fragmentów kazania. Przy okazji zauważyłem, jak bardzo czasy się zmieniły. Kazania nie głoszone, ale czytano uprzednio przygotowany tekst. Nagłośnienie też było odpowiednie. Duchowny przemawiał nad... trumną spowitą czerwoną(!) krepą i w pewnym momencie z jego ust padły słowa: „Może w swoim tchórzstwie przestaniemy wymawiać słowo Polska?”.

Nie, nie przesłyszałem się. O tchórzstwie rodaków było tam zresztą więcej...

A mnie się wydaje, że właśnie to słowo Polska pada z naszych ust zbyt często. Można by też zapytać za Słowackim: o jaką właściwie Polskę tu chodzi?

Nie wysłuchałem kazania do końca, bo sam chciałem coś głośniejszego powiedzieć, ale to nie miejsce na polemiki. Wyszedłem z kościoła, ale przedtem zauważyłem, że moja decyzja nie należała do odosobnionych. Nie dziwię się: jeśli ktoś szuka w świątyni Bożej skupienia i modlitwy, a spotyka egzekwie, i to w dniu radosnym, Dniu Pańskiego Zmartwychwstania, to lepiej klęknąć w domu przed obrazem Pani Jasnogórskiej i samemu odmówić różaniec!

10 IV. Wywiad sekretarza generalnego KC KPZR, Michaiła Gorbaczowa, udzielony dziennikowi „Prawda”. odbił się szerokim echem na Zachodzie. Agencja France Presse pisze we własnym komentarzu: „Nowy przywódca radziecki, Michaił Gorbaczow, dokonał pierwszego konkretnego gestu pod adresem Waszyngtonu w cztery tygodnie po dojściu do władzy, ogłaszając moratorium na rozmieszczenie radzieckich pocisków jądrowych średniego zasięgu i uzależniając w przyszłości to moratorium od samej tylko postawy USA. Sekretarz generalny oświadczył również, że gotów jest przyjąć zaproszenie Ronalda Reagana na spotkanie na „szczybie”, które będzie pierwszym między obu wielkimi mocarstwami od sześciu lat i którego szczegóły techniczne trzeba będzie jeszcze ustalić. Gorbaczow jest człowiekiem energicznym i gotowym dać stosunkom radziecko-amerykańskim ten „poważny impuls”, jaki uważa za niezbędny. [...] Przywódca radzieckiej partii komunistycznej przerzucił w ten sposób piłkę do obozu amerykańskiego, podczas gdy Reagan jeszcze przed pięciu dniami uważał, że piłka ta znajduje się po stronie radzieckiej. [...] W wywiadzie dla „Prawdy”, który jest pierwszym wielkim tekstem dotyczącym polityki zagranicznej Michaiła Gorbaczowa, wyraża się on w sposób zwarty i bezpośredni. Zdaniem specjalistów, jest to inspiracja jego „duchowego ojca Jurija Andropowa”. [...] Zdaniem zachodniego dyplomaty, który wiele lat spędził w Moskwie, sekretarz generalny udowodnił, że jest „zrecznym taktikiem zarówno co do treści, jak też i formy”.

Władysław Machejek w swoim „obserwatorium” na łamach „Życia Literackiego” zwrócił uwagę na satyryczny rysunek, który ukazał się „w znanym piśmie amerykańskim”. Mniejsza o jego tytuł. Na tym rysunku przedstawiono Reagana ze słuchawką przy uchu i parszającego: „I nie chcę już słyszeć żadnych żartów o starych przywódcach”.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy z Moskwy rozlega się głos rozsądku, Waszyngton ponawia swe groźby wobec Nikaragui. Prezydent wielkiego mocarstwa domaga się unieważnienia ubiegłorocznych wyborów w

tych kraju i rozpisania nowych wyborów. Jeśli rząd nikaraguański nie zgodzi się, wówczas USA wznowią pomoc militarną dla oddziałów kontrrewolucyjnych. Jest też podany termin: wybory mają być unieważnione w ciągu 60 dni! Nie można tego inaczej traktować: to jest ultimatum, to jest obrzydliwy szantaż!

Nie po raz pierwszy w historii rząd amerykański występuje w roli żandarma. Coś się jednak na tym świecie zmieniło! Nie tylko w Europie, Azji i Afryce, ale również i w samej Ameryce — Środkowej i Południowej. Był czas, gdy wystarczyło kilka kanonierek, aby tu czy tam zatrzymać bieg historii. Wietnamczycy udowodnili, że byli w stanie poradzić sobie i z większą armią najeźdźców. O tej bolesnej dla USA lekcji Reagan zdaje się nie pamiętać. Pisze „zdaje się”, bo mimo wszystko pewne jednak wnioski administracja Stanów Zjednoczonych z wojny wietnamskiej wyciągnęła. Jak na razie przynajmniej, brudną robotę wykonują nie marines, ale różnej maści najemnicy. Dołary i broń pochodzą z USA, krew ma być „miejscowa”!

12 IV. W „Tu i Teraz” numer 999) obtańcował „Rzeczywistość” za wywiad z Anną Błazucką Pismu grozi się nawet, że powinna nim się zająć „obyczajówka”. Wywiad, jak wywiad, faktycznie można się po nim przejechać w tę i w tamtą, gdyby nie pewne „ale”: data jego wydrukowania. Osobiście potraktowałem tę publikację jako żart prima aprilisowy. Oczywiście w tygodnikach różnie z takimi żartami bywa, bo nigdy nie wiadomo, kiedy pismo, po pierwsze, zjawi się w kiosku, a po drugie w którym konkretnym dniu konkretny czytelnik rzuci na nie okiem. Dlatego też w „Kamieniu”, dwutygodniku, nie możemy pójść za przykładem „Kurierza Lubelskiego”, który 1 kwietnia poszalał w tym względzie jak przedwojenny czerwonik, zapominając, że i gryby w barszczu należy dawkować umiejętnie...

Teraz w „Rzeczywistości” z 7 kwietnia na czołówce ukazał się tekst pt. „Izaura — szczęśliwa niewolnica”. Należy oczekiwać, że też zacznie się za to podszcypywać pismo Czytalem już w naszej prasie kilka tekstów, których autorzy nie pozostawili na tym serialu suchej nitki. Tymczasem, jak wynika z badań przeprowadzonych wśród widzów, serial ów zakasował nawet „Szoguna”. O czym to świadczy? Po prostu o tym, że jest wprawdzie koniec XX wieku, ale „Trędowata” w wydaniu polskim czy brazylijskim („Trędowata” jako pewien symbol) wciąż ma gorących entuzjastów.

Krytycy sobie, a odbiorcy TV sobie. Nie ma co załamywać rąk, ale brać życie takie, jakie jest i próbować je umiejętnie zmieniać. A z polskimi serialami telewizyjnymi, niestety, kłopoty, nawet „Domu” nie można ukończyć, bo główny bohater nie wraca do kraju. Nasuwa się pytanie: jaki to błąd wychowawczy popelnili wytrawni znawcy powojennej historii, twórcy owego „Domu”?

I co robić? Czekać na powrót marnotrawnego syna, czy też zmieniać scenariusz? Bohaterowie też przychodzą i odchodzą. Film pozostaje!

14 IV. Nie odłożyłem, niestety, tego numeru „Sztandaru Ludu” i odnalezienie go teraz w stosie papieru przekracza moje siły. Niemniej dobrze pamiętam, co mnie uraziło. Otóż przed kilkoma dniami na drugiej stronie „Sztandaru” znalazłem wiadomość mówiącą o tym, że Iksiński (za zgodą prokuratora było podane imię i nazwisko) usiłował naciągnąć PZU na wypłatę odszkodowania i sam sflingował włamanie do ubezpieczonego mieszkania. Autor informację przedawkował, podając, że ów Iksiński jest absolwentem KUL. Moim skromnym zdaniem nie ma to nie do rzeczy: można mieć dyplom uniwersytetu w Oxfordzie i być najzwyczajszym w świecie bandytą. Ja na przykład też KUL ukończyłem. I co? I nie. Nie kradnę. A słyszałem o wielkich aferzystach, którzy nie takie uczelnie pokonczyli, żaden dziennikarz pisząc o nich, tych uczelni jednak nigdy nie wymienił...

Przesada w jedną czy w drugą stronę niczego dobrego nie daje. Nikomu!

M. A. Jaworski

UWAGA CZYTELNICY!

W następnym numerze „Kamieni” ogłaszamy wielki konkurs.

Temat: Bułgaria — wczoraj i dziś.

Główna nagroda: wycieczka do Bułgarii. Druga nagroda: telewizor. Poza tym wiele innych wartościowych nagród i wyróżnień.

Losowanie wyników konkursu będzie publiczne.

Nie traćcie szansy! Takiego konkursu i takich nagród jeszcze w „Kamieniu” nie było!

Z góry przestrzegamy: będziemy rozpatrywać tylko rozwiązania wypisane na kuponie wyciętym z „Kamieni”, a nakład naszego pisma został też ostatnio nieco zmniejszony. Trzeba więc szybko biec do kiosku, bo — jak sądzimy — konkurs nasz powinien wzbudzić duże zainteresowanie.

Każdy czytelnik może wysłać dowolną liczbę kuponów, co zwiększy jego szansę w losowaniu nagród!

Artysty nie trzeba przekonywać z ILJĄ BOGDESCO O SZTUCE

— Będąc jednym z najwybitniejszych grafików radzieckiej Moldawii, uhonorowanym swego czasu Nagrodą Państwową republiki, znany jest pan także w Polsce, między innymi za sprawą pięciokrotnego już udziału w jurze Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie, imprezy cieszącej się wszak wysokim prestiżem w świecie sztuki. Niemala to zatem dla nas satysfakcja, że zechciał pan przewodniczyć pracom jury I Międzynarodowego Triennale Sztuki „Przeciw wojnie”, które jako wystawa grafiki i rysunku 224 artystów z 29 krajów otwarte zostanie 9 maja, w jednym z baraków byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku.

— Od razu powiem, że twórczość ta sytuuje się na poziomie proporcjonalnym do szlachetnej idei Triennale, na ogół interpretowanej przez artystów w sposób daleki od sztampy, przy pomocy interesujących rozstrzygnięć warsztatowych.

— Korzystając z obecności pana w Lublinie, chciałbym jednak zaproponować rozmowę na inny temat: tyle osobisty, co obejmujący na przykład kwestię uprawiania twórczości, ściśle — warunków, w jakich pracują artyści moldawscy, czy w ogóle radzieccy. Znajomość tej rzeczy jest u nas bardzo fragmentaryczna, wręcz molista.

— No cóż, życiorys mam „linearny”. Urodziłem się w miejscowości położonej sto kilometrów od Kiszyniowa, w 1941 roku ukończyłem średnią szkołę plastyczną, następnie powołany zostałem do armii, a po wojnie podjąłem studia w leningradzkiej Akademii Sztuk Pięknych, by dyplom otrzymać w 1951 roku. Konkretniej: ukończyłem wydział grafiki ze specjalizacją w zakresie książki, która od tamtych czasów określa jeden z dwóch zasadniczych obszarów mojej twórczości. Może warto wspomnieć, że zajmuję się całokształtem wizerunku plastycznego książki: jej kompozycją, liternictwem i w ogóle stroną graficzną, wykonując też oczywiście ilustracje.

— Wiem, że w ten sposób opracował pan wiele pozycji z klasycznej literatury moldawskiej, a ponadto dzieła Puszkina, Dostojewskiego, Korolenki, Mamin-Sybiraka, Erazma z Rotterdamu czy Jonathana Swifta. Wiem ponadto, że równoległe uprawia pan tak zwaną grafikę warsztatową, ekspozycyjną: linoryt barwny, akwafortę, miedzioryt, no i rysunek, nierzadko podejmując właśnie tematykę antywojenną, czego przykładem wysoko oceniana seria „Moja Ojczyzna”.

— Tak było, ale obecnie zajmuję się wyłącznie miedziorytem.

— Piękna technika, ale kto choćby raz widział, jak powstaje kopersztych, ten przyzna, że wymaga ona niezwyklej cierpliwości i pewnością dłoni. Niewiele artystów zajmuje się dziś miedziorytem, mając do dyspozycji znacznie wygodniejszą serigrafie itp.

— Faktycznie, na ubiegłorocznym biennale w Krakowie doszukałem się zaledwie dwóch lub trzech miedziorytów. Równie rzadko technika ta pojawia się na wystawach w Związku Radzieckim. Inna sprawa, że w grafice światowej obserwuje się właśnie powrót do warsztatu klasycznego: do drzeworytu, metalu, litografii, przy jednoczesnym kureczeniu się zainteresowania serigrafia czy offsetem.

— Ale dlaczego wybrał pan miedzioryt? — Po prostu: bo ja cenię sobie rzetelną, ręczną robotę, gwarantującą w sposób niedościgniony autentyzm autorskiego zapisu. Wiem, że jak pociągnę dłonią po płycie, to zostawię ślad własny, osobisty. A serigrafia to takie mączenie w rękawiczkach przez siatkę, mówiąc obrazowo.

— Właśnie w miedziorycie wykonał pan 18 ilustracji do „Podróży Gulliwera”...

— Opowieść Swifta nie jest baśnią, lecz paraboliczną rekonstrukcją realnych stosunków społeczno-politycznych z czasów pisarza i chcąc uwyraźnić ten jej charakter, posłużyłem się techniką, która umożliwia precyzyjne i czytelne wydobywanie detali ilustracji, co z kolei ukonkretnia i uwiarytelnia wi-

zę graficzną. Poza tym miałem na uwadze pewien aspekt psychologiczny. Otóż „Podróże” powstały w okresie największego rozkwitu miedziorytu, kiedy pełnił on funkcję ilustracji książkowej czy planszy kartograficznej.

— Wspomniał pan, że niewiele artystów radzieckich uprawia miedzioryt. A czy odstępstwa od jakiegokolwiek generalnego wzoru stylistycznego, właściwego dla całej sztuki Kraju Rad, też są sporadyczne?

— Proszę pana, niemal w każdej z republik rozwija się sztuka odmienna, swoista w sferze formalnej i w ogóle koncepcyjnej! Zaś elementy różnicujące twórczość tkwią m.in. w charakterze lokalnych tradycji. Z jednej strony mamy Rosję, z jej bogatą, wiekami narastającą kulturą artystyczną, z drugiej — na przykład republiki azjatyckie, gdzie do czasów rewolucji nie było malarstwa figuralnego, bo Ko-

więcej w Związku Radzieckim. Rokrocznie około 10 osób podejmuje studia w uczelniach plastycznych Moskwy, Leningradu, Kijowa, Lwowa, Tallina lub Wilna...

— A jakie są źródła, przepraszam, pańskie go utrzymania?

— Żyję ze sztuki i starcza mi jeszcze na uzupełnianie własnej biblioteki, liczącej obecnie 5000 tomów.

— No tak, ale pan jest artystą ukształtowanym, z pozycją...

— Wszyscy moi koledzy posiadają wystarczająco dobre warunki uprawiania twórczości, a zatem i egzystencji. Decyzją Rady Ministrów Moldawii zbudowano nam piękne pracownie — w formie antresoli o wysokości pięciu metrów, z wielkim oknem od strony północnej, których powierzchnia użytkowa, bez zaplecza, sięga 45 metrów. W zasadzie każdy z członków na-



Siergiej Geta (ZSRR) „Człowiek” (1982) akwaforta z akwafintą (z cyklu „Fragmenty najnowszej historii”) wyróżniona jedną z nagród równorzędnych wśród prac przysłanych na Triennale „Przeciw wojnie” w Lublinie.

ran nie zezwalał na wykonywanie takich obrazów. Natomiast w takich krajach, jak Moldawia, którą kilkadziesiąt lat temu zwykło się lokować na „obrzeżach Rosji”, nie istniały właściwie środowiska artystyczne; tylko jednostki podejmowały studia w petersburskiej Akademii. Oczywiście, szkicując tu obraz z konieczności uproszczony, pozbawiony subtelniejszych odcieni, ale proszę mi wierzyć: wspólna sztuka radziecka jest różnorodna.

— O ile się nie mylę, Związek Artystów Plastików ZSRR liczy ponad 20 tys. członków...

— A w samej Moldawii dwustu, jeśli to pana interesuje. Dodam, że w 700-tysięcznym Kiszyniowie istnieją dwie średnie szkoły plastyczne, założone pół wieku temu, oraz Instytut Teatru i Sztuki. Ponadto funkcjonuje u nas inny system kształcenia artystycznego na poziomie średnim, który rozpoczyna się w piątej klasie szkoły podstawowej i w skali republiki, liczącej pięć i pół miliona mieszkańców, obejmuje 27 placówek, czyli naj-

szego związku dysponuje takim pomieszczeniem, wyposażonym między innymi w prasę graficzną do technik metalowych. Są to bardzo dobre „maszynki”, produkowane przez znaną fabrykę w Podolsku koło Moskwy, a kosztujące około 250 rubli.

— Ale jaką drogą dochodzi do ewentualnego nabywcy to, co w tych pracowniach powstaje?

— Po pierwsze: przez przedsiębiorstwo o nazwie „Fond”, które skupiając wszystkich członków związku artystów, zajmuje się przyjmowaniem i akwizycją zleceń na prace użytkowe i „czyste”, a ponadto kupuje dzieła sztuki bezpośrednio z wystaw. Istotne przy tym, że „Fond” podporządkowany jest w skali całego państwa naszej organizacji twórczej.

Równoległe, choć w inny sposób, spełnia się w tym obszarze Ministerstwo Kultury, które zawiera z artystami umowy na dzieła przeznaczone do publicznej ekspozycji. Na ogół autor otrzymuje: zaliczkę i roczny termin realizacji zobowiązania. Kiedy wystawiony obraz zyska akceptację

specjalnej komisji z udziałem przedstawicieli ministerstwa, artysta inkasuje pozostałą część honorarium. Jeśli zaś praca nie wzbudzi uznania tego gremium, wypłaca się twórce kolejną ratę wynagrodzenia, do 60 procent ogólnej wartości, traktując to jako zachętę do „podciągnięcia” malowidła. Tylko wówczas, kiedy autor nie spełni i tych nadziei, dochodzi do rozwiązania umowy — z tym jednak, że zaliczka pozostaje w kieszeni artysty. Takie niefortunne przypadki zdarzają się, ale rzadko.

Poza tym artyści posiadają wiele innych możliwości sprzedaży swych prac, na przykład osobom prywatnym. Bywa, że tacy kolekcjonerzy wynoszą do swoich domów całe wystawy — w ciągu jednego dnia, co od razu kieruje do portfeli artystów po kilka tysięcy rubli.

— Być plastykiem w Kraju Rad... Ale, ale: mecenas daje i wymaga. Właśnie, czego wymaga ten mecenas?

— Umowa na dzieło zobowiązuje mnie do respektu dla określonego w niej tematu pracy. Natomiast o doborze metod i środków jej realizacji decyduję indywidualnie i suwerennie. Nigdy nie doświadczyłem takiego „podpowiadania”, które miałyby na celu ograniczenie mojej inwencji i osobowości twórczej.

— Ale członkowie różnych komisji zakupów czy ocen dzieł sztuki kierują się chyba i kryteriami zgodnymi z urzędowym pojmowaniem twórczości, które w większości krajów świata jest, powiedziałbym, bardziej zdyscyplinowane.

— Proszę pana, w naszych komisjach zasiadają artyści, i to artyści wybitni, którzy potrafią zrozumieć intencje i koncepcje ocenianych kolegów. Gdyby takie sprawy oddać w ręce urzędników — no nie, nie wyobrażam sobie tego.

— A gdyby tak jakiś malarz podsunął pod oczy komisji białe, nie zamalowane płótno... Na Zachodzie robili się takie rzeczy.

— Na „nie” odpowiada się: „nie”.

— Widział pan zapewne płótna Kazimierza Malewicza i prace innych artystów awangardy z czasów rewolucji. Jaki jest pański stosunek do tej twórczości, która nie doczekała się u was kontynuacji?

— Widziałem, na wystawie „Paryż — Moskwa”. Będąc formą bezwzględnej dezaprobaty zastanej rzeczywistości, sztuka awangardy stanowiła zarazem manifestację nowego życia, próbowała wyrazić swoją epokę, zdefiniowaną przez rewolucję. Ale my żyjemy już w innych czasach, w odmiennym społeczeństwie. Z szacunkiem odnosząc się do tradycji artystycznej, także tej najnowszej, sygnowanej choćby przez racjonalizm konstruktywizmu, nie zapominamy o tym, że o witalności sztuki decyduje jej głęboki związek z ideami i codzienną praktyką tych zbiorowości ludzkich, do których oto należymy. Sytuowanie się poza społeczeństwem współczesnych prowadzi twórczość na ziemię jałową, zamienia ją w alchemię, przydaje groteskowych i żalonych znamion abrakadabry, właściwie pozbawia walorów kreacji. Powiem krótko: autentyczny jest ten artysta, którego nie trzeba przekonywać, że życie ma sens, a skalę jego wartości wyznacza dobro człowieka.

— Trudno nie zgodzić się z taką opinią... Ale jakie mogą być realne skutki humanistycznej postawy artystów, manifestowanej choćby na Triennale Sztuki „Przeciw wojnie — za życiem” na Majdanku, skoro na głowę każdego z nas odmierzone już, w trybie zamocnym, ileś tam kilogram trotylu? Czy bardziej celowe od rysowania nie byłoby kopanie schronów przeciwatomowych?

— Widzi pan, artysta ustanawia estetyczną „ekosferę” człowieka, która przenika się ze światem wartości etycznych. To nie są działania blahe, ornamentalne. Niech więc robi on nadal to, co należy do jego obowiązków — szczególnie w tych ciężkich czasach.

— Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia na otwarciu Triennale.

Rozmawiał: Ireneusz J. Kamiński

Fotografował Andrzej Polakowski

Nie tylko „Szogun”

W CIĄGU kilku tygodni telewidzowie polscy oglądali ostatnio odcinki serialu „Szogun”, w którym w roli Johna Blackthorne'a występuje popularny aktor Richard Chamberlain, jeden z najbardziej znanych gwiazdorów małego ekranu. Za kreację w „Szogunie” otrzymał on nagrodę „Złotego globusa”.

Urodził się w USA w 1935 r. W wieku 24 lat zadebiutował w telewizyjnych serialach „Gunsmoke” i „The Paradise Kid”. Polawił się też w niewielkich rolkach w cyklu „Alfred Hitchcock przedstawia”. Kiedy wytwórnia MGM ogłosiła konkurs na bohatera nowej serii, aktora „dobrej prezencji, zdrowego i utalentowanego”, Chamberlain okazał się najlepszy spośród 35 kandydatów, często o znacznie

większej renomie. Dr Kildare był bohaterem ok. 150 filmów, które oglądano w wielu krajach. Chłopięcy i sympatyczny, inteligentny, pracowity, chłonący wiedzę, troskliwy wobec chorych — którymi się opiekował, budził powszechną sympatię.

Doktrowi Kildare poświęcił Chamberlain pięć lat — od 1961 do 1966 r. Zdobył za ten serial trzy złote medale pisma „Photoplay” i pierwszy „Złoty globus”. Później przysłał filmy dla kin: „Radość o poranku”, „Petulia”, ekranizacje: „Wariatki z Chailot”, „Juliusz Cezar”, „Kochankowie muzyki”, „Lady Caroline Lamb”, „Trzech”, a następnie „Czterech muszkieterów”, „Hrabia Monte Christo”, „Człowiek w żelaznej masce”, „Płonący wieżowiec”, „Ostatnia fala” i „Dzwony”.

Prawdziwy sukces aktorski przyniósł mu ponownie serial telewizyjny „Szogun”. Autorem powieści, która posłużyła jako twórczość scenarzysty, jest 69-letni James Clavell, który poznał wschodnią Azję podczas II wojny światowej i niemal cudem przeżył niewolę japońską. Po wojnie podjął pracę jako pisarz i scenarzysta. O dzie-

Jach Blackthorne'a, żeglarsza brytyjskiego w służbie holenderskiej, który znalazł się w XVII-wiecznej Japonii, dowiedział się z odkrytych w Muzeum Brytyjskim starych kronik, opisujących dzieje niejakiego Willa Adamsa, zaś zebrane materiały uzupełnił własną znajomością spraw Wschodu. W ten sposób powstał scenariusz eksponujący motyw zetknięcia się dwu światów i odmiennych kultur, opowieść o dawnej Japonii, do której przed Holendrami przybyli już wcześniej Portugalczycy, podejmując działalność misyjną.

Serial „Szogun” okazał się jednym z największych sukcesów amerykańskiej sieci telewizyjnej NBC i dotarł na małe ekrany całego świata.

(rz)

A jednak się uczy...

dojrzała i całkowicie spełniła się w świetlicy.

Powiedziałem „piekło”, bo z tych krótkich fragmentów, jakie powyżej przytoczyłem, wyraźnie bije ten piekielny nastrój, a przecież to dopiero namiastka wstrętnej atmosfery. Najgorsze pozostało we mnie. A może powinienem to wszystko ujawnić, wygarnąć do reszty? Tę jednak nie uczynię. Ta zapora tylko trochę się uchyliła i natychmiast opadła. Może kiedyś uda mi się ją podnieść bez reszty? Niech spynie to wszystko i da upust innym wrażeniom! Kiedy to nastąpi — trudno powiedzieć. Póki co, czynię różne zabiegi, by tak się stało. I ta próba konkursowa ma mi w tym pomóc. Być może, otrzymam odpowiedź, czy za tą zaporą kryje się rzeczywistość jakaś grubsza rybka. A może jej tam wcale nie ma? I z tym też trzeba się liczyć, bo ostatnio tyle różnych tych ścieżek... A sama poprzedzka do 15 stron też pewien wpływ tu miała. Być może, i tego nie wykorzystam. Ja sobie tak gadu, gadu, a sprawa zasadnicza stoi na uboczu.

Otrzymałem powiadomienie, że mam jechać do szkoły na egzamin. Jeśli wypadną pozytywnie, to będzie można pozostać na cały rok nauki, bo tyle Szkoła Przesposobienia Przemysłowego ma trwać. Mocno ucieszyłem się z tego faktu i zbieram się na ten wyjazd. Liczę, że natychmiastowego powrotu nie będzie, ale różnie to bywa. Tu warto nadmienić, że od kilku dni już w piekarni nie pracuję. Podobno i majster wyciszył się. Zastąpiło zagrożenie, to inaczej być nie może ze strony majstra — trzeba było sobie odmówić wódeczki. A może jeszcze liczył na powrót ucznia? Podobno też częściej wystawał na progu swego sklepu. Był to dla niego dość zaskakujący cios. Przepuszczam, że nie przewidywał takiego obrotu sprawy. Było to jednak jego zamartwienie. Ja żyłem już czym innym. Myślałem o egzaminie i zadawałem sobie to pytanie: „co też oni tam dla nas wymyślą?”

Jestem na dworcu i za kilka minut nadjedzie pociąg i dawaj, bracie, na nowe szlaki wydarzeń. Pożegnałem się z wujkiem Rochem i już siedzę w wagonie, ostatnie spojrzenie na miasteczko, na drożdźnicę, która tuż koło dworca się znajdowała. Zabrakło chrupiących bułeczek na portierni, ale może ktoś inny poszedł w moje ślady? Tak, tak — myślałem jeszcze i o wielu innych sprawach. Był taki moment, że wydawało mi się, że tuż za węglem stoi majster i przygląda mi się, jak unykam. Spędziłem w miasteczku prawie trzy lata jako kandydat na piekarza i tak niewiele brakowało, bym został czeladnikiem! Rzuciłem to wszystko i pędzę prawie w nieznaną. Przyklejony do szyby, ślizgam się wzrokiem po łanach, a myśli urzędują to w miasteczku, to w szkole. Z każdym obrotem kół jestem bliżej szkoły, a dalej od miasteczka. Dźwięczą mi w uszach słowa wujka Rocha, że bym piął, żeby mi się dobrze wiodło, a kiedy będę mógł, to że bym przyjechał. Dziękowałem, zapewniałem — tylko ten majster w głowie mi siedział. W gruncie rzeczy było mi go żal.

Ostatnie śnięcie lokomotywy i wywalila się młodzież na peron. Tutaj widać, że takich szczęśliwców, jak ja, jest sporo. Wszyscy oni kierują się ku szkole, która stoi blisko dworca. Po chwili byłem już na placu szkolnym i oczom nie wierzę — tyle młodzieży. Wszyscy przyjechali się uczyć, taka była ich wola i państwa, które miało nas przygotować do pracy w przemyśle. Obijanie się po placu szkolnym nie trwało długo. Szybko przywołano nas do porządku i oznajmiono, że następnego dnia przystępujemy do egzaminów. Ten jeden dzień oczekiwania dostarczył wielu wrażeń, było na co popatrzyć i sporo się człowiek nasłuchał. Przede wszystkim te różne ubiory: długie marynarki, krótkie spodnie. Jeden był tak dziwnie ubrany i prawie wszyscy mu się przyglądali i on to chyba odczuwał, ale co miał biedak zrobić, kiedy nie lepszego nie posiadał? I ja też specjalnie nie byłem wystrojony. Czarno było tego dnia. Jedni szacowali swoje możliwości na egzaminie, inni decydowali się na powrót do domu, bo wieść niesła, że będzie to szkoła trochę o rygorze wojskowym, a nie wszystkim to odpowiadało. Byli tacy, którzy odjechali przed egzaminem. Powiadali też, że wszyscy chętni będą przyjęci, a ten egzamin to taki tylko sprawdzian, pewna możliwość porządku. Egzamin się odbył i były dość wymagające,

Ciąg dalszy ze str. 1

Ze ja byłem drobny, wietny. Wujek Roch należał do wysokich i szczupłych i miał swoje lata, ale jeszcze dobrze się krzątał na własnej drodze i potrafił sprzedać, co wyprodukował. A jeśli chodzi o majstra, to bliżki i gruby. Pewnie braki w uzębieniu, ale rumianiwy. Można powiedzieć, że tryskał zdrowiem. Brzuszek od piwka specjalnie mu w pracy nie przeszkadzał. Zonę miał od siebie chyba starsza i równa mu wzrostem, tylko te niegi, ale w sumie zgrabna; dala mu jednego syna. Sprytny to był daleciak i kiedy zachodziła potrzeba, kasował jak stary. Mało go było widać zza bufetu, toteż pod nos stawiał sobie szuffalę i wtedy był widoczny. To tak w ogólnym skrócie, bo większej potrzeby nie widzę.

W początkowym okresie spałem na piecu piekarniczym. Ciepło tu było, ale i duszno. Sam sobie to legowisko wybrałem i byłem z niego zadowolony. Wujek Roch zapraszał na spanie do siebie, jak dawniej, ale ja już więcej nie chciałem sprawiać kłopotu. Rodzina mieszkająca u wujka była liczna, a powierzchnia mieszkania skromna. Jakże niewiele się zmieniło od tamtego czasu. To tak między wierszami.

Majster, jak mówiłem, uchodził, za pijanice i dobrze był znany ze swoich śpiewów. Miasto niewielkie, cichutkie, a tu nagle ten śpiew majstra, to zawołanie. Byli inni pijacy w mieście, ale jakoś nie celowali w śpiewaniu. Majster był tą „ozdobą”. I tu rzecz charakterystyczna — z chwilą pozyskania ucznia majster stał się inny. Prawie przestał śpiewać, bo i krócej przebywał w knajpach. Poczł się zobowiązany, a miał co przekazać swojemu uczniowi i przekazywał. Można powiedzieć, że życie w piekarni toczyło się normalnie. I ani się człowiek obejrzał, jak to się mówi, i rozek zleciał. A umiałem już sporo. Każdemu życząc takiego fachowca, tylko to picie... A wiercie mi, że strasznie ciężko się pracuje, kiedy wódka-bierze górę.

Gdy majster doszedł do wniosku, że uczeń już sporo umie — powrócił na swoje stare szlaki i zawodził jak dawniej. Powiadali w mieście, że majster tak jak teraz chojrak, bo ma ucznia. Wcześniej, kiedy go nie miał, liczył zawsze na możliwości swojej żony, ale co to było za życie? Znałem je z opowieści. Powróćmy jednak do naszych dni.

Gramole się na piec. Zasnąć nie mogę, a jestem przecież tak zmęczony! W magazynie z mąką na workach leży majster. Temu idzie spanie, a mnie kolatała się różne myśli po głowie. Czy wytrwam do końca, to przecież jeszcze dwa lata? W końcu zasypiam. Budzi mnie majster, który kęca leczy piwem, i ponaga do pracy. Jest wesoly i chętny do pracy. Pogwizduje sobie i ruga zonę, która pracuje na równi z nami. Ten nastrój pracy będzie trwał do nastania ciemności. Wtedy majster rzuca wszystko, trząska drzwiami i już go nie ma. Taki tryb życia stanie się regułą. Zławi się majster późną nocą i będzie się dobijał do bramy, która zazwyczaj była otwarta. Jego powrót wzmagal naszą czujność. Majstrowa była przygotowana na wszystko. Na ucieczkę, obronę, czule słowa, bo i tak sprawy się miały, i wylęczał by tu można jeszcze inne szczeroty, ale czy to jest tak ważne?

Podziwiali ludzie moje wojaże. Bo trzeba wiedzieć, że oprócz zasadniczej pracy w piekarni spoczywał na mnie obowiązek dostarczania pieczywa do pobliskiej wioski. Był tam sklep i przywoziliśmy do niego bułki i chleb. Siadałem na rower obładowany pieczywem i prosiłem tylko o jedno — żeby nie stanął w drodze. Przy tym ogromnym ładunku powrotny start był potwornie utrudniony, a przecież jeszcze na plecach miałem worek z bułkami i pomyślecie, że jakoś sobie radziłem. Spod piekarni pchnął mnie majster, ale w drodze? Liczyłem na szczęście. Najwięcej miałem kłopotów z samochodami. Te potrafiły zepchnąć na pobocze drogi, wtedy wybierałem najbliższe drzewo, by się odepchnąć. Czasami znalazł się jakiś brzdąc po drodze, to pomógł. W nagrodę otrzymał bułkę, którą miałem za pazuchą. Znany byłem z tego gestu i z czasem wychodzili mi na spotkanie. Dobrze znali porę mojego przejazdu, a przede wszystkim liczyli na bułkę. Potrafił się też upomnieć, kiedy się zaniedbałem. Powiadali wtedy: „piekarz, daj bułkę!” i rzucali.

Raz sprawili mi psikus. Był słoneczny dzień. Wracałem z wioski po dostarczeniu pieczywa. Przejeżdżałem koło zagajnika, obok była łąka, nad którą kołysały się motyle i ten zapach kwiatów i trawy, i te wszystkie inne cuda natury. Wszystko to sprawiło, że postanowiłem odpocząć. Oparłem rower o drzewo i jak długi, wyciągnąłem się na

łonie. Po chwili już spałem, ale był to sen krótki, bo trzeba wiedzieć, że u piekarza pewne obrazy czasowe są ściśle zakodowane — to przychodzi z doświadczeniem. Wsadziłeś chleb na dolny „bert” i po „nastu” minutach trzeba go przesadzić na górny, ta przerwa jest wykorzystywana na sen. Nie jest to pełny sen, ale swego rodzaju czuwaniu. Właśnie w takiej mojej czuwającej drzemce na łonie zjawili się chłopcy, odprowadzili mój rower do drogi i próbowali jazdy, równocześnie mnie obserwując. Budzę się, rower zginął! Trzeba przyznać, że napędzili mi strachu, bo co by pomyślał majster, gdyby mnie ujrzal bez roweru?

Ja sobie tak wspominałem i być może nudzę, ale był to dla mnie okres wielkich przekryć. Może jeszcze podświadomie, ale już tam gdzieś wewnątrz coś się rodziło. Jawiło się lepsze życie, a miałem już 17 lat. Robilem jak wół i czyniłem sobie zarzuty w rodzaju: „ty, durny, pracujesz na tego pijanice, a ten ci gotów jeszcze krzywdę wyrządzić”. Tak oczyszczony zabierałem się do kolejnych zadań, bo ludzie na chleb czekali. A niechby mnie któregoś dnia zabrakło na portierni w drożdźnicy, czyniliby mi wyrzuty, że tak ich zawiodłem, a oni czekali na moje chrupiace bułeczki. (Panie ministrze Krasziński — to wcale nie takie trudne!)



Rys. Józef Tarłowski

Zdecydowanie czyniłem postępy w nauce zawodu piekarza. Stałem się barczysty, mięśnie z każdym dniem się rozwijały, to już nie ten chłopak. Z mąką dobrze sobie radziłem, kiedy transport przyszedł, tylko wujek Roch mnie przestrzegał, że trzeba dbać o zdrowie. „Po schodach nie noś worków” — powiedział. Co miałem robić, kiedy do magazynu wiodło kilka schodków, ale z czasem i ta obawa ustąpiła. Wujek Roch żywo interesował się moimi postęпами i zachęcał do nowych wysiłków. Byłem posłuszny jego myślom, ale miałem też swoje zdanie, z którym kryłem się. Chciałem być piekarzem, lecz w chwilach zadumy wylaniało się coś nowego, a następnie pod wpływem wydarzeń pracy cichło to wszystko i przy jakiejś okazji znowu powracało i trwało to tak prawie jeszcze dwa lata.

Z tytułu nauki zawodu należało mi się parę groszy od majstra, ale systematycznie ich nie dostawałem. Nie upominałem się też o te grosze, lecz o tym fakcie dobrze wiedział wujek Roch i wstawiał się za mną. A spotykał się z majstrem dość często. Były takie okresy aktywne — to dalo się odczuć, ale były też i dłuższe przerwy, że wujek Roch w piekarni się nie zjawiał; wtedy majster dowiadywał się o jego zdrowie i dodawał: „ja wiem, czego mu brakuje”. A tak, szczerze mówię, to mu niczego nie brakowało. I bułeczka stała zawsze w szafirowym kredensie i korzystał z niej wujko umiejętnie. Ale kiedy mocniej sobie podlał, to zaraz mu się oczka robiły mniejsze i zapraszał do gry w karty. Ta gra w karty to oddzielna historia. Powiem tylko tyle, że graliśmy na papierosy. Była to swego rodzaju zabawa. Sam nie paliłem, toteż moje wygrane papierosy po skończonej zabawie przechodziły wszystkie na stronę wujka.

Tak sobie piszę i piszę, ale co to wszystko ma wspólnego z Polską Ludową? A ma, i to dużo, bo inaczej bym nie pisał. Wspaniale się prezentowali

chłopcy z SP. „Medale na piersiach błyszczą się, a ty bracie, ciągle mąką przysypany jesteś i światła nie oglądasz”. Czyniłem sobie takie wymówki, ale znajdowałem natychmiast usprawiedliwienie na tę okoliczność. „Być może ci chłopcy jedzą twój chleb, a że wozisz chleb na woskę, to też pewna zasługa”, i pocieszałem się, że moja pozycja też coś znaczy. Tylko pijanutki majster psuł cały ten pobożny nastrój i przywoływał do porządku, że trzeba myśleć inaczej. I myślałem, ale nie mogłem zdobyć się na poważniejszą decyzję. Nowe dojrzało we mnie bardzo powoli, ale dojrzało, a to się liczy.

Kiedy minęło mi dwa lata praktyki, a mogę powiedzieć, że zawód piekarza opanowałem już dobrze, to wpadłem na genialną myśl i zwierzyłem się z tego majstrowi. Chodziło mi o wcześniejszy egzamin na czeladnika i w ogóle, czy taka możliwość istniała, czy można to było brać w rachubę. Majster się tylko uśmiechnął i powiedział: „to już ci się u mnie znudziło, a przecież jeszcze nie wszystko ci przekazałem”, i tu zaczął wylęczać, co jeszcze słabo mi wychodzi. Trzeba przyznać, że miał rację, ale jeszcze rok męczarni? To mi się zaczynało nie mieścić w głowie. Odejść? I tu mnie żal ogarniał, że ja tego biedaka mam zostawić, ale też trudno było sobie wyobrazić, że bym

jako czeladnik u niego pracował. A miał takie ciche życzenia.

Majster wraca z nocnej eskapady. Ucho naderwane, twarz krwią zalana, ale nastawiony wojowniczo. Wymachuje kończynami, czyni jakieś esy — floresy w powietrzu i zapowiada nowe porządki. Umęczył się, upadł na worki i zasnął. Można było spokojnie dokończyć pracę. Ale jaka będzie następna noc — może cicha, może majstrowa nie będzie musiała uciekać? Ciągłe te same pytania się rodziły i człowiek liczył na jakąś dobrą odmianę ze strony majstra, ale była to słaba nadzieja. Ten człowiek był już stracony. Tylko w jakichś momentach zagrożenia potrafił sobie jeszcze czegoś odmówić, ale to było wszystko.

Uwikłany w taki bieg wydarzeń, jestem coraz bliższy decyzji, która ma odmienić moje życie. Pomyślałem sobie: „przecież w Polsce Ludowej jest tyle innych możliwości bardziej barwnego życia”, i traf chciał, że przypadkowo znalazłem do świetlicy, gdzie dokonywało się zapisywanie do Szkoły Przesposobienia Przemysłowego. Zostałem zagadnięty i stało się. Ciągłe jeszcze nie byłem pewien tego, co się dokonało, ale ten termin wyznaczony, że mam oczekiwać na dalsze informacje przywoływał mnie do dalszego skutecznego działania. Czy jeszcze pójdę do piekarni, czy już to wszystko rzucić? Targany tymi myślami, wałę do wujka Rocha i mówię w czym rzecz, ale wujek się oddalił i wcale nie chciał słuchać moich „bredni”. Po chwili jednak powrócił, by mi powiedzieć, że tylko głupiec tak czyni, jak to ja zamierzam zrobić. Zdanem wujka, powinienem ukończyć naukę w zawodzie piekarza, a później można myśleć o dalszych sprawach, nawet o szkole. Ten prawidłowy tok rozumowania akceptowałem, ale na innym tle wydarzeń w piekarni. Moje piekło wygasło i decyzja, jaką podjąłem, nie narodziła się tak sobie — ona bardzo długo

Czesław Kuriata

JEST NAS CZTERECH

Jest nas czterech:
każdemu strona świata inna
łóżkiem przypisana —
Jak cztery rogi
przypadkowo związanej
chusty —
Teraz czekamy
który węzeł pierwszy
puści w pustkę
w nicość jesienną
za oknem

Jest nas czterech:
Najstarszy całe życie dźwigał
nasiąknięte kloce
z których robiono zapalki
(Dwóch z nas pół życia
przypalało nimi papierosy)
Najstarszy już mówi że to ostatni
jego szpital i strach z niego wylazi
jak karaluchy ze szpar —
Ten naprzeciw mnie też
siebie nie oszczędzał —
Teraz lekarstwa wylewa do zlewu
bo gorzkie jak jego życie dotąd

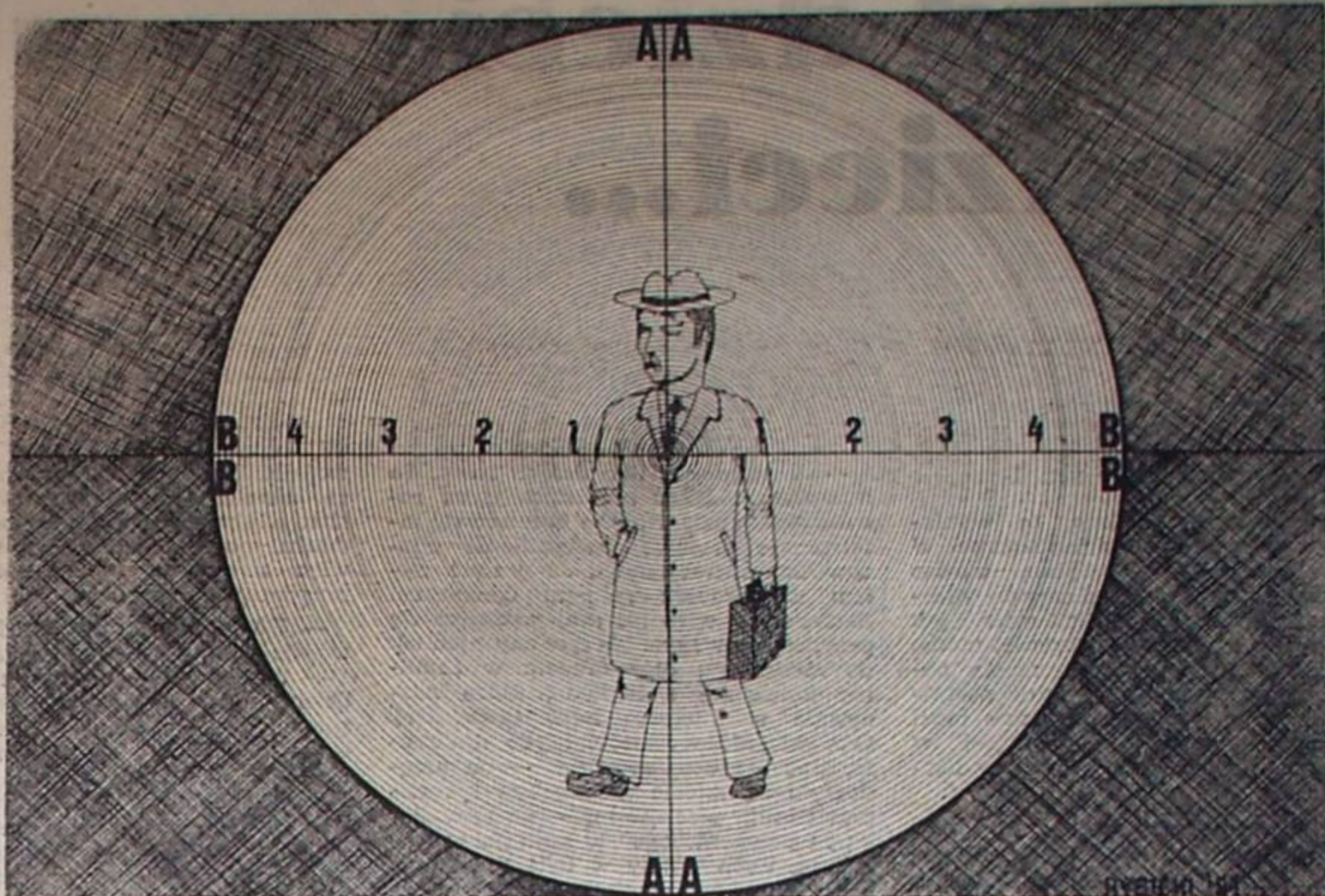
Jest nas czterech
a tylko urzędnik
łóżko traktuje jak biurko
i pigulki przyjmuje zwyczajnie
jak paragrafty
Tylko urzędnik taki sam
zewnątrz i wewnątrz
I zdawałoby się na pytanie
„Po co żyć?”
Odpowie „Przekładać dni jak akta.”
I choć bez zarękawków
nie ma w nim iskry buntu
Nawet tego na pokaz
nawet tego dla honoru
nawet tego co to nie ja
nawet tego że tak wypada

A jednak
to wszystko nieprawda —
Zanim nastal świat
urzędnik skrupulatnie
podciął sobie żyły —
Teraz z nas śmieje się
że chcemy jak najwolniej
dozłgać się do śmierci

No i doczekałem się!

Tyle nadużyłem metafor,
że wreszcie wiele z nich
stało się dosłownością:
na czele z najdosadniejszą,
która brzmi BLIZNA NA SERCU,
i już nie ma metafory w
powiedzeniu PEKŁO SERCE
lub SERCE ZAMARŁO
i tak dalej itp.

To po prostu wynik
niezgodności teorii i praktyki
ścierania się życia i poezji
konfliktu serologicznego ducha i natury
dążenia do perfekcjonizmu
wynik idei sprawiedliwości
i bezinteresowności seksu
Innym znów razem może sedno
w locie pszczołki Mai
we wściekłości z powodu
uroczego lenistwa Guca
i diabli wiedzą czego to jeszcze
wynik



Rys. Mariusz Rybicki

A może
to w największej mierze wina
niecierpliwości
też cholera wie z jakiego powodu

Może życia negatywu śmierci
może śmierci dzięki której
życie

cholera wie

SKARGA

Dlaczegoś, moje serduszeko,
takżeś mnie zawiodło?

Wstydzilibyś się mnie oskarżać —
słyszę odpowiedź —
Walczyłem jak nigdy dotąd
ale to było ponad moje siły
bo gospodarzyłeś mną
jak pijany zając.

Co teraz pocznę, moje serduszeko?
Nie powrócę do siebie tamtego
i co mi z życia,
gdy już nie mi nie wolno.

Nie narzekaj — słyszę odpowiedź —
Robię co mogę dla twego dobra,
tylko mi w tym nie przeszkadzaj;
Popatrz jak ten z czwartego piętra,
stracił węch i słuch
i coraz gorzej widzi,
traci wrażliwość na barwę i piękno.
Czy chciałbyś się z nim zamienić?

O! Zamilcz serce!
Wykrzyknąłem ze strachem
i z jeszcze większym nasłuchiwałem:
Na szczęście mego rozkazu
serce nie przyjęło dosłownie!

Urodziłem się,
aby wrócić z krótkiego wypadu
za miedzę —
Jakby po tyk wody
iskrę ognia i mgiełkę uludy —

I ta jedna chwila mnie
wystarczy za tomy dla filozofów

ANIOŁ ANIOŁOWI

Wokół fruwają
aniołki w bieli
(Część z nich dopiero przyucza się
do służby niebiańskiej)
i zbierają nieczystości
po dawno strąconych aniołach
sprzed epoki ich własnego
istnienia.

Stare, strącone anioły zaropiałe,
dziękują postękiwaniem,
zgnilią wątrową i nerką —
Ale nie ma się czemu dziwić,
to przecież ziemia —
Ponadto anioł aniołowi
nierówny.

W nocy
śnił mi się piękny anioł —
Gdy obudziłem się
przede mną stała młoda dziewczyna
(Pielęgniarka o przeciętnej urodzie).
O, Boże, jaki byłem szczęśliwy,
widząc zwykłą dziewczynę
a nie prawdziwego anioła
wśród stódek pół niebytu
i śpiewów kojących
(Tak przynajmniej o tym wszystkim
ładnie mówią ludzie za życia)

Najgorzej
jak się przyśni
anioł bez skóry i mięśni —
I w dodatku nie będzie to
wcale sen.

W tej sali unosi się
smutny zapach niewidzialnego kwiatu
i bezszelestnie spada plutek
bilet wizytowy dla któregoś z nas —
Na nim sympatycznym atramentem
wypisano datę do odczytania w chwili
gdy gorączka — która jest teraz obroną —
po raz pierwszy nie zdzierży ataku
i spali ciało na sople

Wśród dzieci dla dzieci...

Ciąg dalszy ze str. 1

cięcia społecznikowskiego, to wyniosłem je bezsprzecznie z harcerstwa. W latach gimnazjalnych byłem bardzo związany z polskim skautingiem i właśnie harcerstwo było dla mnie, jak również dla ogromnej większości moich rówieśników, szkołą życia, szkołą postaw obywatelskich. Korzeni postaw zawodowych i społecznikowskich ludzi mojego pokolenia trzeba szukać w większości przypadków właśnie w harcerstwie.

— I we wzorcach wyniesionych z domu rodzinnego...

— To wszystko działało w silnym powiązaniu: rodzina, dom, organizacja młodzieżowa, atmosfera panująca w szkole, do jakiej się uczęszczało. Wzrastaliśmy w duchu głębokiego patriotyzmu. W moim i moich kolegów przypadku był on tym silniejszy, że pochodziliśmy z terenów poddawanych przez dziesiątki lat działaniom germanizacyjnym; mieszkaliśmy na Pomorzu, w miasteczku Sępólno Krajeńskie, w dawnym powiecie złotowskim. Nawet po odzyskaniu niepodległości problemy „polskości” i „niemieckości” mieszkańców tych ziem wcale się nie skończyły. W wyniku Traktatu Wersalskiego wschodnią część dawnego powiatu złotowskiego przypadła Polsce, a zachodnią Niemcom, ale właśnie w tej wschodniej części mieszkał bardzo znaczny odsetek Niemców, którzy nie chcieli się pogodzić ze swoją obecną przynależnością państwową...

— Czy już w szkole myślał pan o zostaniu lekarzem?

— Tak. I to było zresztą dość paradoksalne, bo w gimnazjum w Chojnicach, do którego uczęszczałem, było typu „klasycznego”. Królowała w nim łacina, greka, historia. Matematykę traktowano dość „ulgowo”, a co dopiero mówić o biologii... Było już niejako tradycją, że wielu chłopców po ukończeniu naszego gimnazjum poświęcało się stanowi duchownemu; zazwyczaj jedna trzecia maturzystów wstępowała do seminarium. W szóstej klasie gimnazjalnej, a więc na dwa lata przed maturą, zafascynowała mnie biologia, nauka o człowieku i nauki medyczne. A zawdzięczam to profesorowi biologii, który przyszedł właśnie wtedy do naszej szkoły i potrafił przekształcić nieco pogardzaną dotychczas biologię w jeden z najbardziej ciekawych przedmiotów. Dołąć miałem jedną tylko fascynację: harcerstwo. Teraz zyskałem jeszcze jedno poważne zainteresowanie.

— Harcerstwo to były obozy, wy-cieczki, życie na łonie natury...

— Owszem, to też. Ale przede wszystkim harcerstwo to była praca, działalność organizacyjna wśród rówieśników i wśród młodszych kolegów. W Sępólnie byłem współzałożycielem drużyny harcerskiej; w Sępólnie doszedłem do funkcji zastępcy komendanta hufca. Zdobylem godność Harcerza Orlego: nosiłem Krzyż Harcerski ze złotą lilijką i złotym kółkiem...

— A co z medycyną?

— W 1936 r., po maturze, zdałem egzamin konkursowy na Wydział Lekarski Uniwersytetu Poznańskiego. Była to wielka radość dla moich rodziców, którzy mimo skromnych dochodów pomagali mi zawsze i zawsze zachęcali do nauki. Niestety, na uzyskanie przeze mnie dyplomu rodzina musiała czekać dłużej niż zazwyczaj; kiedy szykowałem się do podjęcia czwartego roku studiów, wybuchła wojna. Dalsze studia miałem rozpocząć dopiero w 1945 r.

— Ale podczas wojny nie zerwał pan z medycyną; jeszcze się do niej zbliżył?

— A stało się tak dzięki temu, że musiałem uciekać ze swoich stron rodzinnych, gdzie Niemcy miejscową inteligencję masowo wywozili do obozów koncentracyjnych. Ja jeszcze byłem na dodatek znanym działaczem harcerskim, więc los mój wydawał się przypięczonej... Wracajmy jednak do medycyny: otóż miałem w Lublinie koleżankę z Sępólna, która pracowała w tutejszej Izbie Lekarskiej. Ona właśnie wystosowała do mnie oficjalne „zapotrzebowanie” — na urzędowym blankiecie niemieckim i z odpowiednimi pieczęciami — na tzw. „lekarza pomocniczego” w szpitalu w Biłgoraju. Zaopatrzonej w taki dokument, bez przeszkód przekroczyłem granicę pomiędzy Reichem a Generalną Gubernią i trafiłem na cztery lata pod opiekunice skrzydła dyrektora biłgorajskiego szpitala, doktora Pojaska. Było nas tam chyba trzech czy czterech takich półlekarzy uciekinierów i jeszcze jeden nie dokończony student farmacji jako pomocnik szpitalnego aptekarza. Nauczyłem się wiele z praktycznej medycyny. A że to była wojna, lekarzy brakowało, a szpital, jak każdy ówczesny szpital prowincjonalny, miał „przechyli” chirurgiczny, zoperowałem nawet „swoje” pierwsze wyrostki... No, a 1 stycznia 1945 r. z „lekarza” stałem się znowu studentem: zacząłem uczęszczać na Wydział Lekarski UMCS w Lublinie.

— „Cofnął” się więc pan na czwarty rok studiów?

— A, nie, nie! „Awansowałem” na rok piąty, ostatni! Bo taka była wówczas zasada, że wszystkim byłym studentom medycyny, którzy przez okres całej okupacji pracowali w szpitalach, nabierając sporej przecież praktyki, „darowywano” jeden rok studiów „do przodu”. Trzeba tutaj dodać, że w ogóle mój rok był dość specyficzny; większość studentów to byli ludzie w mundurach i ze stopniami oficerskimi, oddelegowani z lekarskiej służby frontowej na dokończenie studiów.

— Czy właśnie wówczas zainteresował się pan doktor pediatrią?

— Wie pan, wtedy to my wszyscy chcieliśmy być chirurgami! Taka była moda wśród młodych ludzi kończących studia medyczne. I ja nawet, istotnie, o mały włos nie zostałem chirurgiem! Na piątym roku otworzyły się przede mną nagle aż dwie perspektywy: mogłem „zaczepić się” albo na chirurgii, w ówczesnym Szpitalu Jana Bożego, albo na pediatrii, w podlegającym Szpitalowi Szarytek dziecięcym Szpitaliku im. Dzieciątka Jezus przy ul. Staszica. Wakowało tam miejsce tzw. „lekarza dyżurnego”, zwanego także „lekarzem miejscowym”. W ówczesnej nomenklaturze „lekarz dyżurny” to był lekarz stałe zamieszkały na terenie szpitala, obowiązany do pracy na każde wezwanie, w dzień i w noc. Było więc do objęcia; stanowisko, własny pokój, a w dodatku... dawał za darmo posiłki ze szpitalnego kotła. Rzecz bardzo ważna dla studenta! I jeszcze jedno: człowiek stawał się pracownikiem wyższej uczelni, bo szpital otrzymał status kliniki uniwersyteckiej. Tak więc zdecydowałem się na pediatrię, o której zresztą myślałem podczas studiów w Poznaniu.

No, ale chcieć zostać zaangażowanym — to jeszcze mało: trzeba żeby chciało człowieka zaangażować! Miałem poparcie znanego lubelskiego pediatry, doktora Ślaskiego. Ale kiedy znalazłem się przed obliczem dyrektora szpitala, dr. Klepackiego, zapytał mnie przede wszystkim: „Co pan umie?”. A ja umiałem bardzo niewiele. Potrafiłem jednak robić intubację — nauczyłem się tego pod okiem doktora Pojaska w Biłgoraju — i to chyba zdecydowało o moim przyjęciu. Intubacja to zabieg polegający na umieszczeniu specjalnej rurki w krtań dziecka chorego na dyfteryt, aby uratować je przed uduszeniem. Ale wówczas, po

wojnie, dyfteryt był prawdziwą plagą, niemal z pogranicza epidemii. Nie każdy lekarz, nawet doświadczony pediatra, potrafił dokonać intubacji. No więc ze swoją umiejętnością byłem przydatny dla szpitala.

— Właśnie: jak się przedstawiał po wojnie stan lubelskiej pediatrii?

— Proszę pana, po wojnie lecznictwa dziecięcego, w sensie wyodrębnionej specjalności, prawie w Lublinie nie było. Społeczne lecznictwo dziecięce niemalże nie istniało. Była jedna dziecięca przychodnia w Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Hipotecznej i jedna „u Jana Bożego”, w ówczesnym Szpitalu Miejskim. Lekarzy pediatrów, uprawiających praktykę prywatną, można było policzyć na palcach: dr Ślaski, dr Klepacki, dr Cywiński, dr Sławińska-Freitag i jeszcze kilka innych osób. Jeżeli dodać do tego brak leków, nieobecność antybiotyków, to trudno się dziwić, że śmiertelność wśród dzieci w tamtych czasach była znacznie większa niż dzisiaj.

— Stał się pan jednym z pionierów lecznictwa dziecięcego na Lubelszczyźnie...

— To prawda. W maju 1949 r., będąc już po doktoracie i sprawując funkcję starszego asystenta kliniki pediatrii, zostałem powołany na stanowisko dyrektora w Centralnej Poradni Ochrony Macierzyństwa i Zdrowia Dziecka, której zadaniem była organizacja społecznej służby zdrowia pediatrii w województwie lubelskim. Sytuacja dla młodego człowieka, który zgodził się wziąć na siebie taki obowiązek, wręcz „rozpacziwa”. Teren — całkowicie zaniebany. Przychodnie pediatrii egzystowały tylko w Zamościu, Łukowie, Białej Podlaskiej, Hrubieszowie i chyba jeszcze w Lubartowie. Przychodni dla kobiet nie było właściwie wcale. Nie istniały oddziały dziecięce w szpitalach, a pediatrów w całym regionie było tylko samo, co w Lublinie, a może i mniej: w Lubartowie — dr Łabuciova, w Hrubieszowie — dr Sznajbergowa, w Zamościu — dr Onyszkiewiczowa, w Łukowie — dr Siwakowa, w Białej Podlaskiej — dr Ogłozowa i to chyba wszyscy.

Na prowincji przeważał typ lekarza „uniwersalnego”. Specjalistów trzeba było dopiero szkolić, zachęcać do podejmowania specjalizacji; kończących studia i oczekujących na „nakazy pracy” — werbować do pracy w nowo organizowanych poradniach. Często zresztą oni sami byli organizatorami tych poradni. Każdy lekarz naszej lubelskiej kliniki miał pod swoją opieką jakiś szpital w terenie, gdzie zorganizowano oddział pediatrii. Lekarze z terenu w każdej chwili mogli zadzwonić do Lublina, do dr. Klepackiego, Ślaskiego lub do mnie, jeżeli mieli jakieś szczególne trudności w leczeniu... Tak, dziesięć lat przepracowałem w „administracji” i w ciągu tych dziesięciu lat, właściwie z niczego, powstała cała dziecięca służba zdrowia na Lubelszczyźnie.

Po dziesięciu latach wziąłem rozbrat z administracją, a w 1970 r. — także z Akademią Medyczną: otrzymałem wówczas ordynaturę dziecięcego Oddziału Schorzeń Jelitowych w Szpitalu Wojewódzkim przy ul. Biernackiego, dawnym — zrosniętym z historią lubelskiego szpitalnictwa — Szpitalu Jana Bożego.

— W początkach pańskiej kariery lekarskiej jedną z najgroźniejszych chorób dziecięcych był dyfteryt. A jak dzisiaj, po czterdziestu latach? Jakie są dzisiaj najczęstsze spotykane choroby dziecięce, które wam, lekarzom, przysparzają największej troski?

— Dominują schorzenia dróg oddechowych z odczynami astmatycznymi. Ten rozwój schorzeń astmatycznych to zresztą „zasługa” rozwoju cywilizacji. Podam tylko taki przykład z naszego

regionu: pewnie pamięta pan, że przez długie lata wiele matek wyjeżdżało w leczenie z dziećmi do Puław. Tak, do Puław, które były traktowane jako swoisty lubelski kurort. Ale od czasu, kiedy zbudowano puławskie Azoty, tamtejsze matki przyjeżdżają ze swoimi dziećmi do... lubelskiej kliniki.

Więcej też mamy dzisiaj u dzieci chorób krwi i więcej jest dziś dzieci z wadami wrodzonymi.

A swoją drogą medycyna dziecięca, jak zresztą cała medycyna, poszła szalenie naprzód. Po wojnie często bywalimy bezradni wobec niektórych schorzeń i przypadków. W latach pięćdziesiątych umieralność dzieci do jednego roku życia wynosiła od 4 do 12 procent. Umierały przede wszystkim dzieci z uszkodzeniami podczas porodu, wcześniaki, teraz się je ratuje. Dzisiaj umieralność dzieci do jednego roku nie przekracza jednego procenta.

— I tutaj musi się wyłonić w naszym rozmowie problem dzieci upośledzonych. Z tym się łączą wieloletnie zabiegi pana doktora, także jako radnego miejskiego, w sprawie budowy w Lublinie specjalnego zakładu rehabilitacyjnego dla takich dzieci.

— Niestety, nie wiem, czy kiedykolwiek taka inwestycja wejdzie w stadium realizacji. A była już przyznana lokalizacja na jednym ze wzgórz sławinkowskich i zlecona nawet dokumentacja obiektu. Jak to niejednokrotnie bywa: w ostatecznym rozrachunku zabrakło pieniędzy...

W latach siedemdziesiątych wystąpiłem z projektem zorganizowania i wybudowania dużego obiektu rehabilitacyjnego, z częścią przystosowaną dla lecznictwa zamkniętego oraz otwartego, gdzie dzieci w lepszym stanie zdrowia mogłyby przychodzić wraz z matkami na zajęcia rehabilitacyjne. Zawsze doceniałem ogromną rolę domu, rodziny, matki w procesie leczenia, a także — rehabilitacji małego pacjenta. Zawsze starałem się, i nadal się staram, trzymać dziecko, jeżeli to tylko możliwe, jak najdalej od szpitala. Dlatego dla „pensjonariuszy” projektowanego ośrodka rehabilitacyjnego przewidywałem system osobnych, 4—5 osobowych, sekcji, albo inaczej: „grup opiekuńczych” czy też osobnych „domów”, gdzie tych właśnie czterech lub pięciu małych pacjentów, skazanych na długi pobyt w ośrodku, stanowiłoby namiastkę rodziny, ze stałą opiekującą się nimi „matką”-pielęgniarką. W czasie wieloletniej praktyki lekarskiej stwierdziłem, że wielkie, kilkunastolub kilkudziesięcioosobowe sale wpływają fatalnie na stan psychiki i zdrowia małych pacjentów... W części „otwartej” projektowanego przeze mnie obiektu mieściłby się także m. in. hotelik dla matek przyjeżdżających wraz z dziećmi na kilkudniowe lub miesięczne ćwiczenia rehabilitacyjne i uczestniczących przy zabiegach. Aby potem potrafiły stosować te same ćwiczenia z dziećmi, po powrocie do domu. Jaki to miał być piękny ośrodek: pokoje mieszkalne, sale gimnastyczne, baseny...! Wszystko pozostało — na papierze...

— Ale, proszę pana! Co tu mówić o takim dużym ośrodku! Ileż to było trzeba zachodu ze strony radnych miejskich, żeby doprowadzić do zakończenia budowy ośrodka zdrowia przy ul. Juranda. Budowy, która ciągnęła się pięć lat! A ile, żeby doprowadzić do uruchomienia przedszkola dla dzieci upośledzonych!

Wywalczyliśmy również budowę wielkiej przychodni ogólnej przy ul. Klinicznej. Po wybudowaniu, gmach został jednak przeznaczony na Instytut Stomatologii Akademii Medycznej.

Każda kolejna rada miejska przystępuje do swej działalności pełną ambicją, entuzjazmem i wielkimi planami, a potem rzeczywistość skręca... A jakie nieraz różni ludzie na wysokich stanowiskach mają pomysły! Czy pan wie, że kiedyś właśnie, jako radni miejscy, z największym trudem uratowaliśmy Lublin przed kasacją trolejbusów? I co by teraz było przy obecnych trudnościach paliwowych? Czym byśmy jeździli po mieście? No cóż, może kiedyś zaświta jutrzienka i dla ośrodka rehabilitacyjnego na Sławinku!

— Panie doktorze, ostatnie pytanie: rok temu przeszedł pan na emeryturę, ale nadal prawie nie wychodzi pan ze szpitala, można też pana spotkać w przychodni lekarskiej przy ul. Kowalskiej, w przychodni na Kalinowszczyźnie...

— ...a gdzie mam siedzieć? Ja nic innego nie potrafię robić...

Rozmawiał: Mirosław Derecki

Tylko dzisiaj wieczorem, kochanie (?)

O TWARTA w marcu w lubelskim BWA, wystawa warszawskiej dyplomowanej młodzieży malującej poślizgiem przeleciała w kwiecień, a tym samym na naszym wielkanocnym stole świątecznym pojawiło się jeszcze jedno kolorowe jajeczko, za co należy podziękować wspomnianej instytucji, która nie dość, że stara się upiększać nadbrzeżny pejzaż kulturalny, to jeszcze troszczy się o to o jąja obywateli — właśnie na przednówku, kiedy osłabione wiosną i restrykcjami kokoski nie kwapią się do spotkań miłosnych z kogutami. Jak widać, przy ul. Narutowicza 4 rozlało się morze życzliwości dla bliźnich i subtelne jest tam rozumienie etosu kulturalno-gastronomicznego lublinian, skoro Biuro, pod rzuwonym okiem wojewódzkiego sponsora, staje na głowie w poszukiwaniu rezerw mocy kreacyjnych drobiu.

Spójrzmy bowiem: ile delikatności uczuć kryje na przykład fakt pokazania na rzeczonej wystawie wielkiej plachty papierowej z malowidłem, które przedstawia gołą panią i takiegoż pana w trakcie intensywnych egzorcyzmów. Niewieście, jako stronie nawiedzonej przez Szatana, chuch siarkowy wali z pyska (bo przecież nie z buzi), onemu natomiast promień oczyszczający z oka strzela niczym laser, niosąc ku nieco oddalonej szantrapie Prawdę, Dobro i Imperatyw Kategoryczny (zerwania z diabłem).

Prawemu męzowi, jak to chłopu, strzela cołóż, co jednak trudno zidentyfikować w kategoriach racjonalnego poznania i empirii. Jeśli nie sięgnie się do atlasu anatomii patologicznej, i wtedy okaże się, że poza jajami na stół podano jeszcze kiełbasę — bez kartki! Nie jest to zresztą kiełbasa zwyczajna, bo tak na oko mierzy z metr długości i w ogóle przypomina fragment wału napędowego transatlantyku „Stefan Batory”, który kiedyś miałem okazję zobaczyć. W interpretacji malarza „wał” ów pełni rolę wieloznaczna: materialnego łącznika pana z panią, stanowiąc jednocześnie symbol ich duchowego skierowania (na niedzico). Malowidło w sam raz nadaje się na stół wielkanocny, tym bardziej, że autor nie omieszkał wcisnąć kryzysa w głąb egzorcysty. Prawdą, jak prosta a zarazem wyrafinowana jest ta sugestia?

Idąc pod rękę z Ryszardem Woźniakiem, twórcą „Egzorcyzmów”, można zresztą przeżyć sporo niebanalnych przygód. Ten człowiek postawił na wielkość i niczym nie zawałowaną czyli nagą prawdę — o czym przekonuje kolejne jego płótno, o rozmiarach ekranu w panoramycznym kinie wiejskim, zatytułowane „Ja i Grzyb”. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z wątkiem autobiograficznym, wyartykułowanym w sposób następujący: autor i jego kolega, Grzyb, siedzą sobie na gólasa w relacji intymnej, i licytują się, kogo z nich natura lepiej wyposażyla w aparaturę jajczarsko-wędliniarską, służącą innym ludziom do prokreacji — innym, bo chyba nie naszym bohaterem, prezentującym się w poetyce homoseksualnej, co, oczywiście, nie znaczy, że należy widzieć w nich pedałów w pedryli. Oni się po prostu bawią jak dzieci. To zastrzeżenie wprowadzam świadomie, dla asekuracji, albowiem, wzorem Watykanu i Moskwy, większą przyszłość

postrzegam w stosunkach heteroseksualnych.

Dodajmy, że wzmiankowana aparatura Woźniaka i Grzyba jest tak imponująca, że mogłaby stać się przedmiotem analitycznej uwagi jakiegoś freudysty, zainteresowanego kwestią pod nazwą: męskie marzenie o rzeczywistość. Także Wańkiewicz, gdyby żył, znalazłby chyba w tym obszarze kolejny powód do zadumy nad polskim „chciejstwem”. Kto wie, może i Barthes zechciałby zabawić się owymi piśankami, traktując je oczywiście jako strukturę semantyczno-fizjologiczną o funkcjach subkulturowych. A pies? A ten słynny już piesek, który zeziarł był, zbroczeniem sympatyczny, przyrodzenie pewnemu męzowi z Lubelszczyzny, spojonomu denaturem?!

Moja osobista wizja recepcji papierowego malowidła Woźniaka wypełnia wszak wyściska szkolna, która w ramach lekcji wychowania plastycznego uduła się na wystawę. W profetycznym natchnieniu widzę oto, jak dziełarnia rozbiega się do sali w poszukiwaniu doznań wyższego rzędu, które w procesie dydaktycznym połączone w jej głowach ze sztuką — matrycą humanistycznej kondycji człowieka, ale tak, jak wrzeszczała początkowo w amoku poznawczym, tak milknie nagle, i tylko ten głosik, perłowie i nieśmiało, niczym stereoretro z Amicisa, wyjątkowo nauczycielce: „Proszę pani, co to za sztuka?! Niezły woźny też ma takiego!” Głupie dziecko, można by powiedzieć, gada a nie wie, że naci „dziwy” artysty, jak na ogół określa się protagonistów omawianego malarstwa, zdystansowali już Zachód, gdzie tendencja do świadomie niechłujnego, wręcz prostackiego i sztychczego zapisu obrazowego pojawiła się kilka dobrych lat temu. Widziałem takie rzeczy daleko za Łabą, więc śmiało oświadczam, że sens i ekspresja ich grafologii były z reguły nieco lagodniejsze od formuły zaproponowanej przez warszawiaków w Lublinie, pod ogólnym tytułem „TYLKO DZISIAJ WIECZOREM, KOCHANIE...”.

Mówi się, że malarstwo to wynikało w obcych krajach ze zniechęcenia do establishmentu i sztuki preintelektualizowanej, stanowiąc coś w rodzaju manifestacji „ideologicznej” pokolenia bez ideologii, które w pogardzie dla wartości uznawanych w świecie kapitału uczyniło swoją jedyną pryncypialną wartość. Za autentyzmem „dzikich” malowideł miałby przy tym przemawiać fakt, że wściekłe machanie pędzlem zainicjowali ludzie młodzi, często bez wykształcenia plastycznego, zainteresowani wykonywaniem komunikatów wizualnych, a nie profesjonalnie organizowanych dzieł sztuki. Dzisiaj wszakże jest to już masówka o charakterze galeryjno-handlowym, dająca niezły profit, który podnieca i artystów po czterdziestce. Słyszałem ostatnio, że do ruchu „dzikich” przystąpił nawet pewien pojęciowiec czy conceptualista z południowej strony Karpat, prezentujący się niegdyś w lubelskim „Labiryncie”, a działający dziś w RFN. Naszym chłopcom i dziewczętom przychodzi więc odrabiać zaległości i trudno dziwić się, że robią to z wielkim animuszem, choć już tylko w ramach konwencji, którą definiują między innymi motywy sataniczne, co z kolei wiąże się z szerszym zjawiskiem współczesnej kultury euro-amerykańskiej, od pewnego czasu — również polskiej (patrz: wikary z Łowicza, dosłownie i symbolicznie demo-

lują publicznie obudowę telewizora, narzędzia diabelskich manipulacji przeziele).

Tak zatem Małgorzata Bitterschlid unosiła nam w Lublinie, jak wyglądała „Kochające się diabły”, a jak — „Pieprzące się anioły”. Zwróćmy uwagę, że prefiguracje opozycyjnych formacji pozaziemskich robią niby to samo, ale pierwsza z nich — lepiej, bo lakby z uczuciem, na co wskazuje subtelna różnica w tytułowych czasownikach owych płócien. Pani Małgorzacie nie wystarczała jednak niuanse. Kolejne dwa płótna, ale o świeckim charakterze, stanowiące coś w rodzaju dyptyku, ozdabia ona takim podpisem: „Ty głupi chuj! Ty skończony fiuciel! Dłaczego mnie dzisiał nie...”. Poprawna ortografia jednego z wyrazów, który ciągle ulega karygodnym deformacjom w populistycznej poezji ustępowej, stanowi może argument za dopuszczeniem na wystawę dziatwy szkolnej — również podczas lekcji języka ojczystego. Nikt już nie powinien mieć wątpliwości, że BWA jest placówką upowzechniania kultury, godną jakiejś specjalnej nagrody. Na początek proponuję „Order Uśmiechu (...)”.

Fenomen Belzebuba, czyli Bożka Much (hebr.), jest przecież skomplikowany, o czym najlepiej wie Kościół, który setki lat strawił na ustalaniu genealogii Lucyfera vel Asmodeusza, polykając się szczególnie na ukonkretnianiu koncepcji grzechu. Świadom tego zdaje się być inny malarz, obecny na wystawie. Autor zdumiewających obrazów: „Pojedynek na szparagi” (penisowo-ogonowe, a wielgaachne!), „Nasz kuzyn zabawia się ładnie z naszą boną”, „Szalony jeździec bez głowy” (ale z przymś innym w zadzie słusnie zatrwożonego konia), „Szlifierz nocnych diamentów” (aż iskry lecą), otóż Ryszard Grzyb, chyba ulubiony model Woźniaka, pokazał był ponadto rzecz pod tytułem: „Walka Jakuba z aniołem”, którą wypada uznać za odważną polemikę z obowiązującą doktryną Szatana jako upadłego Anioła. W interpretacji artysty to właśnie oficjalne Anioły posiadają coś diabelskiego (choćby rogi), albo — w głowie się nie mieści! — indywidua z atrybucją szatańską są... Aniołami! No bo jak inaczej, w kontekście tytułu, odczytać można obraz z Jakubem: zwiędzionym indiańskim pióropuszem i gonącym osobnika z rogami?! Po obejrzeniu pracy Grzyba warto sięgnąć jednak do „Pism egzegetycznych przeciwko manechijczykom” św. Augustyna, w edycji ATK z 1980 r.

Jak widać, wystawa obfitowała w niespodzianki. Recenzenci z gazet lubelskich zanurzyli ją, bardzo lekką ręką, w atmosferze ludycznej prowokacji, a tu co? Powody do filozoficzno-teologicznej zadumy.

W nurcie podobnym, tyle że wyprofilowanym wedle wzoru historiozoficzno-politycznego, mieściły się dwa płótna Jarosława Modzelewskiego: „Niewykorzystana możliwość wojny prewencyjnej” (koń i ulan na nie ogromnej swastyki, bodaj największej, jaką spotkałem w powojennym malarstwie polskim) oraz „Jeden z aspektów powstania styczniowego”, osnuty wokół dwóch wizerunków: Wielopolskiego i Traugutta, usytuowanych w pionie, głowami do siebie, jak w kartach do gry (w pokera etc.).

Ciekawe: wżruszyły te prace pewną panią o orientacji spirytualnej, pla-

styczkę zresztą, która radowała się wielce, że młodzi podejmują „takie” problemy i zajmują „takie” stanowisko. Owszem, owszem, bo i Maciej Wilski wyrzcił swój stosunek do pryncypiów narodowych, ironicznie dystansując się od instytucjonalnej wykładni dzieł naszych najnowszych w ogromniastym mazaku „Las — panorama historyczna”, zbudowanym z drzewek i krzaczków, za którymi być może, jak w znanym dowcipie, kryją się bataliony zbrojnych. Być może, bo ich po prostu nie widać.

Alie czy ktoś zauważył, co dzieło się z tą odosobnioną refleksją o większych ambicjach w kontekście lawiny rubasznej wesołości, staczającej się z wielu następnych płócien i papierów? Czy ktoś spostrzegł, że w takim towarzystwie „teksty” Modzelewskiego i Wilskiego uległy tak zwanej homogenizacji mechanicznej, której klasycznym przykładem są między innymi pierwsze strony gazet, głównie popularnych, gdzie informacje o istotnej władze społeczno-politycznej lub gospodarczej występowały w niewielkiej hierarchie wspólności z wiadomościami o dziwkach, młodziejach, dewiacjach milionerów, fenomenach natury, kotach-tygrysiach i tebrach polamanych w uroku do PKO S.A. w dniu 29 marca 1985 roku.

Modzelewski pokazał zresztą i plachty typowe dla „dzikich”, w tym cudownie kłóciwą babę w czarnych rajstopach, wyróżniającą się wspólnie z Markiem Sobczykiem, a Bodpienna po niemiecku, jako że autorzy terminowali ponoć na jakimś stypendium w RFN. Tam swastyka, tu teksty niemieckie w polskiej sali wystawowej — o co biegać, proszę pana? Niby wiadomo, że gbać wyższe, czasy odmienne, ale jakieś nieśmiałość pozostaje, przynajmniej u mnie.

Ten cały, prawie cały pokaz można właściwie uznać za wyraz nieufności młodych malarzy wobec Ideologii i instytucjonalnie (społecznie) usankcjonowanych Wartości, nad które wynosił się Śmiech drwiący i rubaszny oraz Łomot, a więc to, co wydaje się (!) być autentyczne. Skutki na widowni? Różne, ale i takie na przykład:

Druga pod względem wielkości plachta wystawy, „A jednak” Ryszarda Woźniaka i Marka Sobczyka, bezca jakies 4 m wysokości i 5 m długości, sklejona została z mniejszych arkuszy papieru, i otóż w szelunku między tymi arkuszami, pokrwałając się akurat z przedziałkiem na pupie namalowanej postaci, jeden z widzów wlepił dwa biletu wstępu do BWA (końcówki numerów: 894 i 899), które powiewając jak chorągiewka, upodobniły owa postać do mitologicznej Syreny Symboliczna to była konfiguracja, bo mitem jest, że wystarczy krzyknąć, pokazać fiuta, zarchotać, by syśkać słuchacza lub widza. Trzeba to jeszcze umieć zrobić, i z sensem zrobić.

Choćby jak Paweł Kowalewski. Co prawda wystąpił on w klasycznym kostiumie dzikiego, z upodobaniem bulwersującego widza pokrąkami o cechach antropomorficznych, ale spod tego „bestiarium” ciągle wychylał się — kto? Po prostu artysta, twórca obdarzony wspaniałą wyobraźnią i zmysłem makabrycznym. Ja wiem, że taka opinia może skompromitować Kowalewskiego w środowisku „dziczalczy” ortodoksyj, ale cóż, wierze w to, i tak do niego należałoby być słowo ostatnie. Jestem też przekonany, że warto obserwować dalszą działalność Włodzimierza Pawlaka, jako autora skromnych, ale naznaczonych skupioną refleksją płócien w rodzaju „Drogi do Jury Złotnickiego”.

Czy z tego wynika, że dalszą drogę niektórych z wymienionych wcześniej uczestników wystawy postrzegam w rejonach bardziej przyziemnych, na przykład w strefie jajczarsko-drobiarskiej, jakiej sklepiki jajczarsko-drobiarskie, jakki końskie, sauny specjalne, szklarnie ze szparagami? Ależ nie! Bo kto dziś może wykluczyć, że szlak ów pobiegnie w zupełnie innym kierunku, nawet tam, gdzie wzrok nie sięga a moc truchleje?!

IJK

FRANCJA: Mózg w kartotece?

Pewne towarzystwo przemysłowe zamierza prowadzić we Francji pseudonaukowe testy do badania szarych komórek mózgu. „Analiza mózgu” miałaby się stać nową metodą rekrutacji pracowników przedsiębiorstwa. Sprawa ta wywołała duże poruszenie w społeczeństwie francuskim i w kółkach naukowych. Redakcja „HUMANITE-DIMANCHE” zwróciła się do kilku wybitnych działaczy i lekarzy z prośbą o opinię na temat tej operacji, która pod pseudonaukowym szyldem uzasadniała ma samowolne w dziedzinie zatrudnienia. Serge Garde, który rozmawiał z tymi osobami, pisze na wstępie:

CZY jesteś przedstawicielem lewicy czy prawicy? Nie zgadłeś! Nie chodzi wcale o twoje przekonania polityczne, lecz o ostatni wynalazek w dziedzinie zatrudnienia pracowników. A więc — czy reprezentujesz „lewą” czy też „prawą półkulę mózgową”?

Ta moda przyszła ze Stanów Zjednoczonych, gdzie selekcjonuje się ludzi po dokonaniu „analizy ich mózgu”. Aby nie pozostawać w tyle za USA francuski miesięcznik „INTERSOCIAL” poinformował, że ta „technika” rekrutacji załóg zaczyna się przyjmować we Francji.

Według informacji czasopisma, każdy otrzyma kwestionariusz testowy, w którym będzie musiał powiedzieć wszy-

stko o swych studiach, o swej działalności zawodowej i sposobie spędzania wolnego czasu, o chorobie morskiej w czasie podróży, o tempie życia itp. W ciągu pół godziny test wykaże (oczywiście po dokonaniu analizy na komputerze) „mózgowe upodobania” respondenta. Jeśli się jest „mózgowcem lewostronnym”, ma się zdolności matematyczne i techniczne oraz umiejętności wyciągania logicznych wniosków. Jest się konserwatystą, planistą, organizatorem... Jeśli zaś respondent jest „mózgowcem prawostronnym”, to znaczy że ma wyobraźnię, wyczuloną intuicję, dar wymowy, zdolności twórcze, skłonność do akceptowania rzeczy dwuznacznych...

Można sobie wyobrazić, ile straci pracodawca, jeśli zatrudni „mózgowca prawostronnego” tam, gdzie byłby potrzebny „lewostronny”!

Może jednak poradzić się przedmiotem dyktando biera jak np. towarzystwo CEGOS-IPSCO, które zajmuje się „analizowaniem mózgu” kandydatów do pracy. Aby dokonać selekcji? Oczywiście że nie! „Można sobie wyobrazić reakcje CGT, gdyby się tam dowiedzieli, że CEGOS opiera się na badaniu mózgowym, aby zatrudniać presonek” — ironizuje „specjalista”.

Chodzi najwyżej o to, „aby ukierun-

kowały pracowników, szkolić tych, którzy będą uczyć w przedsiębiorstwach i „fabrykować” możliwie jak najbardziej jednolite grupy jednostek. Jest to bez wątpienia „wybuchowa salatką”, ale „rentowna”.

Planuje się organizowanie specjalnych seminariów, które pozwolą lepiej zrozumieć mózg innych ludzi.

I tak oto pojawił się bezrobocie „z powodu nieodpowiednich szarych komórek”.

Ośrodek Paul-Broca przy szpitalu Sainte-Anne jest najnowszym laboratorium neuropsychologii w Paryżu. Pani de Agostini i Masure (pierwsza jest badaczem, druga psychologiem) pogłębiają tam naszą wiedzę na temat mózgu. Pierwsza prowadzi badania nad „lewostronnością”. Druga zajmuje się zaburzeniami rozpoznawania twarzy. Są to tematy zbliżone do pracy laureata Nagrody Nobla, Amerykanina Sperry, który propagatorem „analizy mózgow” służy jako naukowy „punkt odniesienia”.

Oto co mówi pani de Agostini:

— Od czasów badań Broca w XIX wieku wiadomo, że u istot ludzkich lewa półkula mózgowa jest na ogół bardziej związana z mową, podczas gdy półkula prawa jest raczej odpowiedzialna za postrzeganie przestrzeni i kształtów. To się obserwuje u większości „prawostronnych”.

— Czy opierając się na tym fakcie można twierdzić, że u człowieka lewa półkula mózgowa jest ośrodkiem logiki, analizy, a półkula prawa ośrodkiem „twórczości”?

— Trzeba w tej sprawie zachowywać maksymalną ostrożność — mówi pani Marie Cecile Masure. — Bardzo trudno jest zbadać, czy odpowiedź na test pochodzi z lewej strony czy z prawej półkuli mózgowej. Chociażby dlatego, że między obydwoma półkulami istnieje łącznik w postaci „ciała twardego”. Za jego pośrednictwem dokonuje się stała i bardzo szybka wymiana informacji między lewą a prawą częścią mózgu. Odpowiedź na test może więc pochodzić z jednej lub z drugiej półkuli, a nawet z obu naraz. Ponadto rezultaty mogą być bardzo różne, zależnie od tego, czy pacjent koncentruje się na jednym czy drugim uchu.

Dokończenie na str. 10

FRANCJA: Mózg w kartotece?

Dokończenie ze str. 9

— Jakkolwiek prawdą jest, że obie półkule przeważnie pracują różnie — dodaje pani de Agostini — to jednak jest to zjawisko ogólne a nie reguła absolutna. U „lewostronnych” podział funkcji między obiema półkulami jest jeszcze mniej oczywisty.

— Czy możliwe jest dokonanie analizy czyszego mózgu przez zaproponowanie mu udzielenia odpowiedzi na pytania kwestionariusza?

— Nie! To jest niepoważne! Chodzi tutaj o kwestionariusze personalne, jakich jest wiele. Pragnie się uzasadnić selekcję kandydatów opierając się na fałszywych kryteriach naukowych.

— A więc nie można określić w drodze testu ośrodków mowy w mózgu? Obie panie się uśmiechają.

— Mamy z tym duże trudności nawet w tak wyspecjalizowanym ośrodku, jak nasz. Trzeba dopiero jakiegoś guza, jakiegoś urazu „twardość ciała”, aby to wykryć. Badania są jeszcze trudniejsze, gdy mózg jest zdrowy.

— Można więc sądzić, że te pseudoanalizy mózgu są po prostu operacją komercyjną?

— Takie analizy są nadużyciem i grożą niebezpieczeństwem — stwierdza Marie-Cecile Masure. — Wyobraźmy sobie, co by się działo, gdyby np. sporządzono akta uczniów na podstawie takich kwestionariuszy? Tym bardziej, że człowiek zmienia się z biegiem życia i sposób w jaki postępuje się swym mózgiem również ulega zmianie. Ponadto nie bierze się pod uwagę faktu, że mózg funkcjonuje także w zależności od środowiska społecznego i kulturalnego.

— W podobnych niebezpiecznych uogólnieniach — przypomina Maria de Agostini — niektórzy starali się wykryć ewentualną różnicę płciową w organizacji i funkcjonowaniu mózgu. Zdaniem tych osób, mózg mężczyzny jest znacznie bardziej wyspecjalizowany niż mózg kobiet. Niektórzy twierdzili na tej podstawie, że właśnie dzięki wyspecjalizowanemu mózgowi mężczyźni są w większym stopniu niż kobiety zdolni do tego, aby stać się wielkimi uczonymi czy wybitnymi artystami. Tymczasem różnica między mózgiem mężczyzny a mózgiem kobiety jest mniejsza niż między mózgiem „prawostronnego”, a mózgiem „lewostronnego”. Czy zastanawiano się nad możliwościami „lewostronnych”? W istocie wykorzystuje się połowiczne i kontrowersyjne prace naukowe, aby uzasadnić teorię, miejsce kobiet w naszym społeczeństwie.

Philippe Munck, kierownik Wydziału „Praw i swobód” w CGT, uważa, że „analiza mózgow” nie jest niczym innym jak nową formą starego działania. „Znowu ukrywa się pod maską pseudonauki analizy osobowe, których jedynym celem jest wyzysk i ucisk pracownika”.

Te rzekome „analizy mózgow” usiłują ingerować w osobiste życie ludzi zamiast oceniać ich rzeczywiste zdolności do wykonywania pracy i ponoszenia odpowiedzialności. Nie uwzględnia się ich ewolucji. Zamyka się ich w określonej kategorii zamiast próbować ich udoskonalać, dostosować ich do przemian technologicznych.

Jest rzeczą wielce niebezpieczną i niedopuszczalną uzyskiwanie za pomocą tych kwestionariuszy informacji natury prywatnej na temat poglądów, życia rodzinnego itp., na które to informacje pracodawcy są bardzo lasi, o czym świadczą ich kartoteki.

Jesteśmy na drodze do dyskryminacji...

Według opinii CGT, podstawą rekrutacji powinna być suma nabytej wiedzy, udokumentowana bądź dyplomem, bądź szkoleniem zawodowym, bądź wręcz doświadczeniem profesjonalnym. Związki zawodowe nie mogą przejść obojętnie nad tą poważną kwestią i muszą interweniować, aby nie dopuścić do upowszechnienia takich metod jak „analiza mózgow”...

Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe w Lublinie

To już dziesięć lat!

TEN jubileusz obchodzono niespiesznie. 15 stycznia minęła 10 rocznica powstania w Lublinie Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS i Towarzystwa „Polonia”, a uroczyste posiedzenie Rady Naukowo-Programowej instytucji odbyło się niedawno, bo 22 marca — jak zwykle, w uniwersyteckiej Salii Senatu, pod okiem wszystkich dotychczasowych rektorów uczelni, uwiecznionych na okazalych portretach, z których ciągle najlepszy zdaje się być konterfekt Henryka Raabego, wykonany w latach czterdziestych przez Władysława Filipiaka.

To posiedzenie nie było zresztą tak bardzo odświętne. Sekretarz generalny Towarzystwa, ambasador Wojciech Jaskot, oraz przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich wręczyli wybranym osobom kilka odznaczeń państwowych, medale „Polonii” i lubelskie odznaki „dla zasłużonych”, co raptem trwało około 45 minut. A potem zabrano się do roboty, czyli podsumowania 10-letniej działalności Centrum, przedstawionej przez Władysława Kucharskiego, dyrektora placówki, o którym mówi się, że arka taktyki i strategii w służbie sprawy polskiej na obczyźnie opanował już na miarę legendarnych umiejętności Grzegorza L. Seidlera zresztą pełniącego społecznie funkcję wiceprzewodniczącego Rady (obok Wojciecha Jaskota i Albina Kopruckowiaka). Kucharski mówił 27 minut.

Trafiał do przekonania ów brak celebry — niby oczywisty, a przecież jakby oryginalny wobec odzyskującego obyczaju huczego świętowania nawet krótkich, zaledwie pięcioletnich „jubileuszy”. Chciałoby się krzyknąć: dzieci, poczekajcie jeszcze trochę, zróbcie coś więcej, no i bierzcie wzór z tego naszego Centrum, które zachowało właściwe proporcje, choć działa w skali międzynarodowej, znane jest na wszystkich zamieszkałych kontynentach, w okresie 10 lat zdążyło przyjąć 2349 gości z zagranicy, wielce nierzadko utytułowanych, nie mówiąc o tym, że jego przedstawiciele zechciał być przyjąć prezydent Austrii.

Na roboczy charakter marcowego posiedzenia Rady wskazał resztą na wstępie jej przewodniczący, Wiesław Skrzydło, który przed laty „wymyślił” Centrum wespół z ówczesnym sekretarzem generalnym Towarzystwa „Polonia”, wiceministrem Wiesławem Adamskim. Ze dobry to był pomysł, nie potrzeba dziś chyba nikogo przekonywać, aczkolwiek z drugiej strony wiadomo, ile zółci wydziela u poniekąd obywateli każda inicjatywa o formacie ponadprzeciętnym.

Ważne przy tym, że ów pomysł doczekał się racjonalnej, integralnej realizacji. Otóż Centrum objęło swoją działalnością właściwie cały obszar zasadniczych problemów pod nazwą Polonia, efektywnie uprawiając takie jego „działki”, jak: organizacja kontaktów personalnych, kształcenie, wydawnictwa, popularyzacja i propaganda określonych wartości, refleksja naukowa. Krótko mówiąc: funkcjonowało wedle modelu struktury — rozwijając ją z roku na rok drogą uważanej obserwacji realnych potrzeb Polonii, ale i kraju. Oddając uczuciom to, co sentymentalne, nie zapominajmy, że celem głównym owego trudu są wartości wymierne, choć niekoniecznie przeliczalne na uncje. Jeśli ktoś nie pojął jeszcze, o co chodzi, niech zastanowi się, ilu to autentycznych przyjaciół posiadamy w świecie. I niech odpowie sobie na pytanie, dlaczego kilkoro Polaków brazylijskich, tam urodzonych w drugim czy nawet czwartym pokoleniu osadników, zechciało odwiedzić m.in. Lublin — z własnej kieszeni wydając na podróż przez ocean po dwa tysiące dolarów, nie licząc innych kosztów. W kraju swych dziadków i ojców pojawili się po raz pierwszy, by zapoznać się u nas z folklorem,

a przy okazji stwierdzić ze zdumieniem, że kryzys nie rozszarpał na Polakach odzieży, nie zredukował ich kubatury do ściągien i kości choć w taką właśnie wizję zaopatrzone ich przed podróżą.

Polacy z zagranicy ściągali do Centrum i w trudniejszych latach, kiedy obca propaganda kreśliła obraz naszego kraju na wzór Apokalipsy i nie narzekali nawet zbyt, gdy w łazienkach Hotelu Studenta Zaocznego zabrakło ciepłej wody, bo w czasie ich tam pobytu regularnie w całym mieście przystępowano do sezonowej konserwacji „sieci grzewczej”.

Kto gościł w Centrum? Łatwiej odpowiedzieć, kto tam nie był. Przypomnijmy jednak, że w zajęciach Studium dla Instruktorów Zespołów Polonijnych, którym od 1975 roku kieruje Stanisław Leszczyński, uczestniczyły 994 osoby z 20 krajów Europy, Ameryki i Australii. Odnotujmy też, że z wykładów Studium dla Nauczycieli Języka Polskiego (wcześniej nosiło inną nazwę) skorzystały 233 osoby: z siedmiu krajów Europy zachodniej, z NRD, Rumunii, Węgier, Australii, Nowej Zelandii, Argentyny, Kanady oraz USA (skąd dzięki Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku rekrutowało się około 50 proc. słuchaczy).

Można przyjąć, że jeszcze szerszym kręgiem Polonii służy wydawnictwa Centrum: skrypty, monografie, książki powstałe w rezultacie różnych sesji i seminariów naukowych, informatory czy publikowane wespół z Wydawnictwem Lubelskim „Rocznik Polonijny” (pod red. A. Kopruckowiaka), a także kwartalnik „Wisielka”, którego druk trzy lata temu Warszawa ułokowała w Lublinie, gdzie osiągnął 5000 egzemplarzy nakładu. Ogółem Centrum wydało 59 książek i broszur własnych, tłoczonych w Zakładzie Poligrafii UMCS. W powstanie tego zbioru wiele wysiłku włożył Marek Zdrojewski, wicedyrektor Centrum.

Z punktu widzenia czytelnika krajowego najbardziej zapewne interesujące okazały się prace serii „Z dzieł Polonii”, omawiające losy naszych rodaków w kilkunastu państwach świata. W druku znajduje się czternasty tytuł serii: „Polacy we Francji” Wiesława Śladkowskiego, rzecz wyjątkowo obszerna (10 arkuszy) i stawiająca m.in. tezę, że najbardziej racjonalnym sposobem życia Polonii na obczyźnie, pożytecznym i dla nas, jest pełna jej integracja ze społeczeństwem kraju zamieszkania, przy jednoczesnym zachowaniu i kultywowaniu tożsamości etnicznej, czemu właśnie służy, dodajmy od siebie, działalność lubelskiej instytucji.

Z inicjatywy Centrum podjęto też w UMCS badania naukowe nad skomplikowanym problemem szkolnictwa i oświaty polonijnej, obejmującym ponad 20 tematów, rozwijanych m.in. w aspekcie praktyki dydaktycznej. Osobne to przecież pole aktywności (z którym można zapoznać się bliżej w uniwersyteckim Zakładzie Badań Polonijnych, kierowanym przez W. Kucharskiego).

Podane fakty dobrze chyba ilustrują sens i dynamikę poczynąń Centrum, dajmy więc pokój rozwijaniu owego rejestru. Trudno jednak przemilczeć taką oto „ciekawostkę energetyczną”: Centrum zatrudnia zaledwie osiem osób, w tym cztery na etatach i jedną na ryczałcie, podczas gdy pewna instytucja krajowa o zbliżonym profilu posiada niemal 90 pracowników!

Inna sprawa, że Centrum potrafiło skupić wokół siebie zdumiewająco liczną grupę tzw. aktywu społecznego. I to również zadecydowało o jego sukcesie.

(K)

POLONICA

W siedzibie Międzynarodowej Fundacji Kulturalnej Armando Verdiglione w Senago (prowincja Mediolan) odbyło się spotkanie z Krzysztofem Pendereckim. W czasie spotkania, na które przybyło ok. 600-800 osób, wystąpił Chór Filharmonii Narodowej w Warszawie, który wykonał fragmenty „Mszy Polskiej” Maklakowicza oraz fragmenty „Requiem” Pendereckiego.

styczniem Im. Chopina. Młodzi Japończycy pianiści Mari Ebihara, Junko Ando, Mariko Okuma i Kenichi Tokuda — uczniowie kończącej roczny pobyt w Japonii prof. Lidli Kozubek — wykonali utwory Chopina i Karola Szymanowskiego.

W programie festiwalu filmowego w Goeteborgu widzowie szwedzcy obejrzą „Seksmisję” reż. Juliusza Machulskiego.

W ZSRR obchodzono uroczyste 175 rocznice urodzin Fryderyka Chopina. Z tej okazji

wielu radzieckich wykonawców włączyło dzieła Chopina do swych programów. Muzykę Chopina nadawało szczególnie często moskiewskie radio, a Centralna Telewizja wyświetliła film „Fryderyk Chopin”.

W stolicy Austrii otwarto wystawę „Chopin i Wiedeń” poświęconą związkom polskiego kompozytora z tym miastem. Zgromadzone materiały ikonograficzne ilustrujące dwukrotny pobyt Chopina w Wiedniu — w latach 1829 i 1830/1831.

Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” przebywający na tournée w Stanach Zjednoczonych, występował w największym ośrodku Polonii amerykańskiej w Chicago.

Całodzienną imprezę poświęconą Witkacemu zorganizowały Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej w Pradze wraz z Czeskim Muzeum Piśmiennictwa Narodowego; osobowość i dzie-

ła St. I. Witkiewicza przedstawił czeski tłumacz go sztuk: Helena Stachowa, Erich Sojka i Jaroslav Simonides, a fragmenty przekładów recytowali członkowie aktorzy scen praskich; wyświetlono film „W starym dworku”, oparty na motywach sztuk St. I. Witkiewicza, a następnie odbyło się spotkanie z jego reżyserem Andrzejem Kotkowskim i odtwórczynią roli głównej Beatą Tyszkiewicz. Z okazji 100 rocznicy urodzin Witkiewicza praszkę wydawnictwo „Odeon” przygotowało wybór jego dramatów.

W Talant we Francji odbył się „Tydzień Polski”, który zorganizowały władze tego miasta przy współudziale Francusko-Polskiego Towarzystwa Kultury „Warszawa” w Dijon. W programie znalazły się wystawy polskiej sztuki ludowej, plakatu, fotografiki i dokumentów poświęconych emigracji polskiej we Francji oraz pokazy polskich filmów, a także koncerty, m.in. wieczór pieśni i tańca z udziałem miejscowych zespołów folklorystycznych.

Pochwała playbacku (?)

OGLĄDAJĄC najnowszy film Janusza Zaorskiego „Baryton”, nie można uniknąć pewnych skojarzeń z doskonałym dziełem Istvána Szabo — „Mefisto” oraz refleksji na temat obydwu filmów, ich założeń oraz efektu realizacji. W jednym i drugim przypadku chodzi o próby hitleryzmu całkowitego podporządkowania sobie m.in. także ludzi sztuki, artystów.

U Istvána Szabo problem ów wyznacza całą treść filmu i ukazany jest w pełnej jasności, podczas gdy Zaorski tylko jakby „podrysowywał” temat nadciągającego hitleryzmu, już mogącego budzić grozę, choć przez większość ludzi jeszcze nie docenianego i lekceważonego. Dopiero w ostatniej scenie „Barytona” pozwolił sobie reżyser na jeden mocny akord, mający być groźnym ostrzeżeniem dla uczestników filmowej intrygi.

Opowieść Szabo dzieje się w czasie, gdy Hitler już doszedł do władzy i realizuje swoje idee. Janusz Zaorski sprowadza akcję swego filmu do dokładnie dwóch dni: 28 i 29 stycznia 1933 r., poprzedzających datę wyboru Adolfa Hitlera na kanclerza Rzeszy. Któż by jednak myślał o niewysokim, trochę operetkowym „awanturniku politycznym” ze śmiesznym czarnym wąsikiem, gdy oto do jednego z polskich miast przybywa wywodzący się stąd światowej sławy śpiewak operowy, baryton występujący pod pseudonimem Antonio Taviatini! Właśnie ów przyjazd „chłuby miasta” — po wielu latach nieobecności — oraz splot niezwykle porywających i zdarzeń, które nagłe stawiają pod znakiem zapytania całą dalszą karierę wybitnego artysty, są treścią filmu „Baryton”.

W jednej z wypowiedzi na temat swojego dzieła Janusz Zaorski stwierdza: „Nielatwo było zrobić film, który

jest właściwie trudny do sprecyzowania gatunkowo. Jest to bowiem zarówno film sensacyjny, jak i kryminalny, dramat psychologiczny i wreszcie film polityczny, a wszystko zabarwione humorem i dowcipem. Jest w tym filmie kilka gatunków, stąd też pokusa, aby z tych wszystkich cech zrobić coś jednorodnego”.

Istotnie: intryga goni w „Barytonie” intrygę, sensacja następuje za sensacją, polityka przenika się ze sztuką, a biznes — z seksem... Aż chwilami tych pomysłów, tych scen „drapieżnych”, tych dynamicznych, szybkich jazd kamery jakby było za wiele. Nawalnica filmowych zdarzeń nie tyle — jak tego zapewne chciał reżyser — dynamizuje akcję, co raczej ją zaciemnia, wika, pozbawia klarowności.

Antonio Taviatini przybywa do swego rodzinnego miasta, aby obchodzić tutaj jubileusz pracy artystycznej. Ale — na głowie ma budowę opery w Stuttgarcie. Ale — nagle zmienia decyzję zatrudnienia na stanowisku dyrektora tejże opery swego sekretarza, człowieka ze wszech miar godnego owej funkcji, proponując dyrekcję swemu bratu z Polski, którego właściwie zupełnie nie zna. Ale — sekretarz ma mocny atut: jego kochanka jest żona meistra, posiadająca wielki wpływ na męża. Ale — dyrektorem opery chce zostać także finansista niemiecki, przekonany — hitlerowiec, który rozciąga swą pajęczą sieć nad wielkim barytonem i jego otoczeniem. Na szczęście (dla sekretarza marzącego o dyrekturze) hitlerowiec finansista jest homoseksualista. Co „dokumentuje” — przy pomocy aparatu fotograficznego i w odpowiedniej chwili — sekretarz. Którego podgląda przez dziurkę od klucza podczas erotycznego finału z żoną barytona — charakterystorka meistra. Mogąca teraz śmiało szantażować tych

dwoje, w celu uzyskania angażu dla swej podopiecznej, początkującej śpiewaczki operowej. Tymczasem pojawia się nieuczciwy przedsiębiorca, wznoszący operę Taviatinię; nie tylko zdefraudował pieniądze na budowę, ale chce wyludzić jeszcze więcej. Maestro traci głos i nie będzie mógł zaśpiewać na jubileuszowym koncercie. Alifci — mistrz był cały czas na podsluchu. I to jest szansa: należy odwrócić sytuację — utalentowany detektyw-radiokonstruktor potrafi w mig przestawić swoją aparaturę podsłuchową na nagłaśniającą. Mistrz śpiewa niby to do mikrofonu radiowego, a za jego plecami kręci się płyta gramofonowa. Artysta tylko otwiera i zamyka usta, symulując śpiew ku dzielnemu aplauzowi nieświadomych tłumów... I tak dalej.

Niestety: interesujący w założeniu pomysł filmu nabiera w trakcie realizacji coraz więcej cech nie zamierzonej groteski czy wręcz parodii.

W filmie grają: Taviatinię — Zbigniew Zapasiewicz, a obok m.in.: Zofia Saretok, Aleksander Bardini, Jan Englert, Kalina Jedrusik, Małgorzata

Pieczynska, Andrzej Zaorski, Zdzisław Kozień. Każde z nich potrafiło stworzyć osobną kreację aktorską. Ale jednocześnie jakby tworzyli oni orkiestrę grającą bez dyrygenckiej batuty. Trochę podobnie, jak to się działo w przedwojennych polskich komediach: akcja była niby jedna, ale Fertner grał sobie, Bodo — sobie, Dymsza i Cwiklińska — także sobie... Tylko, że wtedy było to bardziej do przyjęcia: bardziej się liczyła „gwiazda” niż poziom czy nawet treść filmu.

Wydaje się, że głównym mankamentem „Barytona” stało się owo pomieszczenie gatunków; o którym mówił we wspomnianym już wywiadzie reżyser: konglomerat, nad którym nie zdołał w pełni zapanować. „Baryton” miał być dziełem z gatunku: „rozrywkowy z ambicjami i głębokim podtekstem”.

Niestety, jest to „gatunek”, na którym rozłożył się już niejeden światowej sławy reżyser. Tego nie da się ukryć, w przypadku Zaorskiego tym razem.

M. D.

W klimacie codzienności

KTOS nazwał kiedyś krakowską Grupę Pod Budą małym teatrem codzienności. Jak trafne jest to określenie, można sprawdzić na koncercie Delikatne w nastroju, ciepłe ballady mówią o sprawach prostych, zwyczajnych, bliskich każdemu człowiekowi, a jednak nie dostrzeganych w potoku absorbujących nas czynności i obowiązków. Dopiero poetyckie spojrzenie Andrzeja Sikorowskiego otwiera nam oczy. Każde zweryfikować poprzednie osądy. Pozwala odnaleźć w pozornej szarości jaśniejsze, całkiem ciekawe barwy. Wystarczy chwila poetyckiej zadumy i podania się klimatowi muzyki.

Występom Grupy Pod Budą towarzyszy zawsze gorąca atmosfera, bez względu na miejsce i czas recitali. Dzieje się tak za sprawą dwójki zgranych głosowo wokalistów — Anny Treter i Andrzeja Sikorowskiego. Z rzadką, sobie tylko wiadomą umiejętnością, potrafią wyczarować niepowtarzalny klimat poetyckiej biada. Prowadzą słuchaczy na stare uliczki Krakowa, zagubione stacyjki kolejowe, wiodą opowieść o starych sąsiadach, wieczornych rozsądnych zakochanych, wiernych właścicielom walizkach i filizankach — milczących słuchaczach kawiarnianych pogawędek. Cała ta opowieść doprawiona jest łagodną, momentami nawet słodko brzmiącą muzyką, skłaniającą do refleksji nad pełnymi filozoficznej zadumy tekstami.

Grupa Pod Buda uchodzić może za jednego z nielicznych kontynuatorów modnego w minionej de-

kadzie nurtu poetyckiej ballady. Znaczna część entuzjastów takiej właśnie muzyki zdążyła się dawno wykruszyć. Andrzej Sikorowski ze swą formacją pozostał na placu boju i bynajmniej nie rozmiął talentu na drobne. Wie doskonale w jaką uderzyć strunę, aby wydobyć właściwy ton i nie spłoszyć nastrojowej muzy. Ballada poetycka straszy wykonawców wieloma mieliznami, przede wszystkim zaś banalem. Muzykom Grupy Pod Buda udaje się, jak dotąd, sztuka omijania strefy pustostawia i bezwartościowych dźwięków. Przekonują o tym dobrze dwa długogrające krążki krakowskiego bandu. Każda z umieszczonych tam piosenek jest na swój sposób małym cackiem z wypieszczoną linią melodyczną i oryginalnym rytmem.

Siła Grupy Pod Buda zdaje się tkwić w oszczędności muzycznej wypowiedzi, w dbałości o klimat i klarowaną barwę instrumentów. Nie ma ich zbyt wiele. Dwie gitary, czasem fortepian, bas i perkusja znakomicie korespondują z ciepłymi głosami pary solistów. Trudno nie wyrazić dla nich podziwu, słuchając „Ballady o filizance”, „Bluesa o starych sąsiadach” czy refleksyjnej piosenki „Gdy mnie kochać przestaniesz”. Fakt, że są one kameralne, adresowane do wysmakowanego odbiorcy i źle znoszące aurę wielkich hal, bynajmniej ich nie dyskredytuje. Należy je raczej uznać za muzyczną alternatywę na hałas rozlegający się z rockowej estrady. Sikorowski w miejsce wrzasku proponuje subtelność i wie, co robi. Nie znaczy to wcale, że

nie potrafi komponować piosenek z większą dynamiką. Dba jednak o zachowanie właściwych proporcji i nie męczy uszu odbiorcy.

Historia powstania grupy wiąże się nierozdzielnie z bujnym w podwawelskim grodzie studenckim ruchem artystycznym. Dokładniej zaś z działalnością świetnego kabaretu słuchaczy Akademii Rolniczej „Pod Budą”. Kabaret, w którym działał dobrze znany Bogdan Smoleń, egzystował kilka lat, zanim dawni satyrycy nie pokochali studiów i nie rozpięchli się w różnych kierunkach. Po rozwiązaniu kabaretu muzycy, wypełniający dotąd skromną część programu, postanowili kontynuować działalność firmy pod jej dawnym szyldem. I tak dowodzona przez kompozytora, autora tekstów gitarzystę i wokalistę Andrzeja Sikorowskiego rozpoczęła karierę grupa już ściśle muzyczna, nawiązująca do tradycji ballady studenckiej i pełnej uroku muzyki country. Z czasem nurt ten został rozszerzony o inne odcienie muzyki pop, a Grupa Pod Buda dopracowała się własnego stylu. Pierwszym, znaczącym sukcesem była nagroda na świnoujskiej Fannie w 1977 roku. Do niej doszła nagroda festiwalu opolskiego i tytuł piosenki roku 1979 dla „Bardzo smutnej piosenki retro”. Później były nagrania, koncerty w różnych zakątkach kraju, radości i smutki oraz kilkakrotne „przemeblowywanie” składu muzycznego. Na szczęście pozostały w nim filary zespołu — Anna Treter posługująca się też sprawnie klawiaturą pianina oraz założyciel grupy. Ich niespożyta energia oraz wierność muzyce sprawia, że Grupa Pod Buda jest wciąż świeża, popularna, chętnie słuchana przez młodszych i nieco starszych. Naprawdę warto jej posłuchać w całkiem zwyczajne dni. Może wydadzą się nam mniej szare.

Istvan Grabowski

PS. Od 1 lutego Grupa Pod Buda przeszła pod opiekę Stowarzyszenia Sztuki Estradowej w Lublinie.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Konciński (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunta Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Tomasz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek (korektor) — Barbara Caban

Redakcja nie wraza materiałów nie zamierzonych, zwraca uwagę na błędy i błędnie napisane skróty. W sprawach literackich przysyłajcie interesantów kierownik działu w piśmie w cod. 14 16

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 235-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Dąbka 4. Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretarza: redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego: 235-92 sekretarza redakcji: 235-93 dział publicystyki i literacki: 235-35

Korespondencje zwrotne prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.



UMILKI. Znów pochylał się nad ladą. Mięśnie jego szczęk dygotały.
— I co? — zapytał Kuba. Serce poczęło mu cierniąć jakimś młocym, dziwnym uczuciem. — I co?

— Szpital — powiedział Władek. — Poszedłem tam, bo ona tak...
— Co z nią? — zaczął Kuba, z całej siły ściskając go za ramię.

— Odejdź... — szarpnął się Władek. — Poszła sobie. Kiedyś w końcu wyniosła się do wszystkich diabłów i na szczęście nie wróciła. Nie można się jej dziwić... Która kobieta żyje dla przyjemności z pijakiem? Pijak nie jest mężczyzną. Sam wiesz, co potrafi pijak w łóżku. Spać i rzygać. Smierdzić w kacu. To była dobra kobieta. Nie zważała na to. Do czasu... Chodziła ze mną do tych przychodni, do lekarzy... Na nic.

— Jak to na nic?

— Kto pije — powiedział Władek i uśmiechnął się z mściwą satysfakcją — będzie pił. To zabawa bez mety. Teraz antabusy, witaminy, pogaduszki z lekarzami, którzy potrafią leczyć tylko nosaciznę u koni; potem Drewnica, Kościan, Tworki... — Oczy jego stały się przezrocyste; mówił: — Domy bez klamek. Biały pokój, z którego nie wolno ci wyjść. Cztery ściany i ty. Twoje wspomnienia, twoje kace. Możesz płakać, bić głową, modlić się, przeklinać, krzyżeć, ale klamki nie dostaniesz. Czasem wyjdiesz na podwórko przejdiesz się w towarzystwie pielęgniarki, popatrzysz sobie... Żółte, odrapane domy. Trochę nieba. Mury Białe fartuchy. Piętnaście minut. Potem znów ten biały pokój. I wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia. Dzień. Noc. Czasem będziesz się gubił, co jest dniem, a co nocą. W nocy przychodzą do ciebie czasem rozmaici ludzie. Ale kiedy wyciągniesz do nich rękę, natrafisz na pustkę. Jesteś sam ze swoimi wspomnieniami. Czasem ktoś ci przyśle list, ale ty czytając go, nie uwierzysz, żeby to pisał człowiek. I znów jesteś sam. Zaczynasz się modlić, żeby nocą przyszedł tamci, żebyś mógł z nimi pogadać. Kiedy przychodzą

lekarze, błagasz ich, żeby cię wypuścili. Klękasz przed nimi, całujesz ich po rękach, chcesz im wyrwać klamkę i uciec, ale jesteś słaby cholernie słaby jak każdy pijak, byle pchnięcie ręką wali cię na ziemię. Błagasz ich...

— Przestań — powiedział Kuba osłaniając twarz ręką jak przed uderzeniem. — Przestań.

— Błagasz ich — ciągnął Władek nie zważając na słowa Kubę — ale możesz ich długo błagać. Możesz im mówić, że jesteś już innym człowiekiem. Możesz ich zaklinać. Grozić samobójstwem. Urządzać głodówki. Krzyżeć dzień i noc, noc i dzień. Możesz przysięgać na kolanach, że jesteś już inny i masz silny charakter. Możesz rzucić się na nich z pięściami. Zbadają ci puls i odejdą.

— Przecież wychodzą stamtąd ludzie — powiedział obcym głosem Kuba.

— Tak — powiedział Władek; lzy ciekły mu po twarzy. — Ale tylko po to, żeby tam z powrotem wrócić.

— Kłamiesz — wolno powiedział Kuba.

— Byłem tam. I będę tam. Znów będą białe pokoje bez klamek. Aż w końcu nadejdzie dzień, w którym już niczego nie będę rozumiał i czuł. Będę kupą głupiego, gnijącego mięsa i powędruję na pawilon, z którego wychodzi się tylko popychać obłóczki. Ale do tego czasu minie jeszcze wiele, wiele...

Umilkł; począł niezdarnie cofać się do tyłu. Oczy wyszły mu z orbit. Ku niemu szedł Kuba wyciągnawszy sztywno obie ręce na wysokość gardła. Oczy miał jednego koloru — jak kulki odlane z metalu. Czolo jego lśniło od potu, usta były otwarte, twarz sina, jakby uległa zmiążdżeniu.

— Ty... ty... — wybełkotał Władek. Twarz skurczyła mu się i była śmiesznie maleńka. Postąpił jeszcze krok do tyłu i uderzył głową o ścianę.

— Aaaaayyy — zawył Kuba głosem tak przeraźliwym, że nagle zapadła zupełna cisza, wszyscy popodnosili głowy, a harmonista urwał w pół tonu — Aaaaayyy...

Małpim, piekielnym zwinnym ruchem złapał Władek za gardło i ścisnął tak silnie, że tamtemu natychmiast krew trysnęła z nosa i poczęła ściekać na dłoń Kubę. Nie czuł, że ludzie, którzy podbiegli, szarpną go za paltó i biją po głowie. Jego siła, jego rozum, jego serce, jego życie — wszystko to było zawarte w dłoniach, w dziesięciu palcach jego rąk. Ścisnął nimi coraz mocniej, nie czując ani ludzkich rąk, ani ciepłej śliny i krwi spływającej mu po dłoniach.

— Boże — krzyknął — Boże...

I dopiero w tej chwili czyjś potężny cios rzucił nim o ziemię, osłaniając go ciemnością — gęstą i dręczącą.

V
Ocknął się na ulicy. Wyciągając przed siebie ręce, nieustannie potracany przez ludzi, szedł wzdłuż murów. Padał deszcz pomieszany ze śniegiem, było bardzo ślisko; światła rozpyływały się jak robaczki świętojańskie. Włosy Kubę były mokre; zgubił ka-

pelusz, paltó miał rozpięte, bez jednego guzika; szalik zwił mu z kieszeni i szarpał się końcem po błoście, pod czaszką czuł nieznośny, pijący ból, jednego oka nie był w stanie odemknąć. Drogę przeleciał mu kot i Kuba pomyślał drętwo: „Wszystko przez tego kota...” Szedł dalej, nie rozumiejąc, kim jest i dokąd podąża; odzyskał na sekundę świadomość, lecz po chwili znów zgubił się w ciemności pełnej kolorowych plam. Ktoś potrząsnął nim silnie i przytrzymał w miejscu.

— Tramwaj. Nie widzi pan, że tramwaj idzie...

Odrzucił go z całej siły i skręcił w boczną ulicę. Posuwał się jak ślepiec, szukając rękami w powietrzu oparcia dla swego ciała. Na końcu ulicy zobaczył światło. „To tam właśnie pomyślał — To tam muszę iść...” Mijał sklepy, domy, bramy; zataczając się brnął przez kałuże — była to świeżo wybudowana, pełna nowych bloków ulica. Przechodził koło jakiegoś sklepu; potrącił oparte o ścianę deski do zastawiania wystawy; upadły z hukiem; jedna uderzyła go boleśnie metalowym okuciem w twarz. Jęknął i upadł, szeroko rozkładając ręce; ulica była pusta, nikt nie przyszedł mu z pomocą. Leżał w kałuży, przeniknięty dławiącym zimnem. Uniósł się na łokciach, chcąc wstać, lecz zabrakło mu siły i runął znów twarzą w krawężnik. „Nie boli — pomyślał — nic nie boli...” Ze sklepu, przy którym stały deski, wyleciała ekspedientka w białym fartuchu. „Teraz” — pomyślał Kuba i ruchem małego chłopca ukrył głowę w ramionach. Kobieta rozejrzała się i głośno powiedziała w pustkę ulicy: „Łobuz...” Poczęła z powrotem ustawiać deski. Ustawiając je, wróciła do sklepu, głośno trzaskając drzwiami. Rozchlapując kałuże, szybko przejechał samochód. Z okna na parterze wrzeszczało radio.

Kuba uniósł głowę ważącą setki ton. Otworzył oko i znów świat poczęł wirować niezrozumiale. Trwało to chwilę; potem już tylko jedno światło na końcu ulicy kołysało się uparcie. „To tam — pomyślał Kuba — To tam właśnie... Co tam? Tam właśnie idę...” Ukląkł; na kolanach poczęł czołgać się do muru. Długo drapał rękami chropowatą ścianę, obrywając sobie paznokcie i krawiąc dłoń, nim natrafił na gzyms. Dźwignął się wreszcie. Nogi miał słabe jak nogi niemowlęcia; drżały i lamały się. Począł iść bardzo wolno, trzymając się muru; płakał. Dwóch uliczników obejrzało się za nim. Jeden powiedział: „Przez lzy do szczęścia. Płyn pan dalej...” Kuba przeszedł w ten sposób parę kroków; w pewnym momencie natrafił na pustkę bramy i upadł. Leżał dysząc. Trwało to bardzo długo. Począł zasypiać, gdy uczył liźnięcie na twarzy, otworzył oko i zobaczył małego psa; pies stał nad nim i patrzył uważnie machał kuszonym ogonem. „Przez ciebie — pomyślał Kuba i natychmiast odzyskał siły — Wszystko przez ciebie”. Chwycił go za gardło; nie czuł nawet, jak pies przekrzywił łebek i wgrzył mu się w rękę. Cisnął nim w kąt i z trudem wstał.

(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Ryszard Strauss poznał pewną damę z towarzystwa, która rozprawiała wiele o śpiewale, nie mając najmniejszego pojęcia o tej sztuce.
Pewnego dnia spotkała ponownie Straussa i pełną radości zakomunikowała mu, że dała koncert i zarobiła tysiąc marek.
— To mnie ciesz — rzekł Strauss — teraz ma pani przynajmniej pieniądze, aby się uczyć śpiewać!

Francuski komedio pisarz Tristan Bernard, siedząc w kawiarni, usłyszał opowieść o Pascalu, który w czasie studiów miał zwyczaj, w razie bólu głowy, wynajdywania skomplikowanych zadań geometrycznych.

Słyszac to Bernard odrzekł:
— Ze mną było wręcz odwrotnie. Ja przy

rozwiązaniu zadań geometrycznych wynajdywałem z miejsca okropny ból głowy.

Kompozytor włoski, Piotr Mascagni, będąc w hotelu w Londynie usłyszał katarzyniarza grającego intermezzo z opery „Cavaleria rusticana”, ale w niemilosierdzie szybkim tempie.

Zdenerwowany upadł na podwórzu hotelu i wykrzyknął:

— Ale! człowieku! Stanowczo grasz ten utwór za szybko! Pozwól, że ci pokażę, jak się to grać powinno.

— Kim pan jest — zapytał katarzyniarz.

— Przypadkowo jestem kompozytorem tego utworu — odrzekł Mascagni i zagrał całe intermezzo we właściwym tempie.

Jakież było jego zadowolenie, gdy następnego dnia usłyszał znów katarzyniarza, ale tym razem grającego całkiem poprawnie intermezzo. Ku swemu jednak zdumieniu Mascagni zobaczył przymocowany do katarzynki plakat z napisem: „Uczeń Mascagniego”.

Wyszperał:
Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 8 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery. Odczytane w ten sposób rozwiązanie będzie fragmentem utworu pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 13 początkowych wyrazów pomocniczych, pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

Wyrazy pomocnicze

1. żywoplotowe śliwki — 17. 85. 132. 161. 36. 167.
2. narzędzie snycerza — 129. 87. 23. 4. 67.
3. uparte zwierzę — 88. 139. 104. 113. 122.
4. z nocnej wracali wycieczki — 22. 16. 29. 32. 78. 48. 11.
5. wiosenny kwiatek — 143. 47. 128. 163. 111. 10.
6. warszawski tygodnik — 43. 65. 50. 45. 162. 21. 8. 33. 28. 103. 90. 137. 58.
7. są w jednym resorcie z handlem — 141. 114. 153. 63. 83. 56.
8. na trasie Warszawa — Lublin — 151. 102. 120. 81. 25. 92.
9. uprzedzone włókno — 12. 106. 138.
10. znieważający zarzut, obelga — 13. 77. 68. 82. 107. 60. 30. 97. 44.
11. wieś w woj. białkopodlaskim z pałacem renesansowym — 35. 135. 118. 126. 156. 94. 110. 40. 49. 72. 93.
12. łączy dwie powierzchnie — 71. 117. 14. 39.
13. przestawnia szyku zdania — 69. 103. 89. 57. 75. 59. 46. 84.
14. bożek szysterstwa, kabaret w międzywojennej Warszawie — 24. 5. 51. 80. 86.
15. stan psychiczny — 145. 41. 100. 115. 131. 52. 148.
16. płasek dwu zwierząt — 15. 116. 152. 101. 130. 42. 74. 31. 98. 146.
17. powieść Hamsuna — 112. 99. 109. 1.
18. części składowe — 7. 62. 34. 119. 38. 158. 73. 61.
19. metoda — 9. 76. 124. 20. 79. 105.
20. ostatnia litera grecka — 150. 141. 70. 53. 96.
21. Podlaska — 95. 159. 127. 68. 123.
22. za Tatrami — 3. 18. 164. 133. 160. 64. 6. 154.
23. rytualne pieczywo żydowskie — 91. 157. 134. 169.
24. dostarcza wełnę — 136. 165. 147. 142.
25. przepływa przez Olsztyn — 27. 121. 37. 149.
26. ptak drapieżny lub grzyb jadalny — 168. 140. 155. 166. 26.
27. po wymłóceniu zboża — 19. 54. 2. 55. 125.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

| | | | | | | | | | | | | | | | | |
|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|
| | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | | 12 | 13 | 14 | |
| | 15 | 16 | 17 | 18 | | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 | | 24 | 25 | 26 | 27 | |
| 28 | 29 | 30 | 31 | | 32 | 33 | 34 | 35 | 36 | 37 | 38 | 39 | | 40 | 41 | 42 |
| 43 | 44 | 45 | 46 | 47 | | 48 | 49 | 50 | | 51 | 52 | 53 | 54 | | 55 | |
| 56 | 57 | 58 | | 59 | 60 | 61 | 62 | 63 | | 64 | 65 | 66 | 67 | 68 | 69 | 70 |
| 71 | | 72 | 73 | 74 | 75 | 76 | | 77 | 78 | 79 | | 80 | 81 | 82 | 83 | 84 |
| 85 | | 86 | 87 | 88 | 89 | 90 | 91 | | 92 | 93 | 94 | | 95 | 96 | 97 | 98 |
| 99 | | 100 | 101 | 102 | | 103 | 104 | 105 | 106 | | 107 | 108 | 109 | 110 | 111 | 112 |
| 112 | | 114 | 115 | 116 | 117 | 118 | 119 | | 120 | 121 | 122 | 123 | | 124 | 125 | 126 |
| 127 | | 128 | 129 | 130 | 131 | 132 | 133 | 134 | 135 | 136 | 137 | 138 | | 139 | 140 | 141 |
| 142 | | 143 | 144 | 145 | 146 | 147 | 148 | 149 | | 150 | 151 | 152 | 153 | 154 | 155 | 156 |
| 157 | 158 | 159 | 160 | | 161 | 162 | 163 | 164 | 165 | 166 | 167 | 168 | 169 | | | |

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 6 SZYFROGRAMU

Ktoś idzie od strony nieprzyjaciela. Rozlepią się senne żronice — to zmartwychwstały Fedukowicz, który przez dzień cały pod żarłocznym okiem strzelca wyborowego udawał trupa.

Melchior Wańkowicz
„Monte Cassino”

Nagrodę otrzymuje Artur Kozłowski, ul. 1 Maja 1, 27-309 Lipsko n. Wisła.